

Magiczna Zagadka

Baccalario Pierdomenico & Gatti
Alessandro



calibre 0.9.43

Pierdomenico Baccalario

Alessandro Gatti

Magiczna zagadka

Kamienica pod numerem 11 w zaułku Woltera nie wyróżnia się za bardzo na tle innych zabytkowych kamienic paryskiej dzielnicy Marais. Gdyby któryś z przechodniów zawiesił na niej na chwilę roztargniony wzrok, na pewno nie przyciągnęłyby jego uwagi okiennice na pierwszym piętrze: były stare, zakurzone i przede wszystkim - zawsze zamknięte. A gdyby nawet ktoś jakimś cudem rzucił okiem akurat na te okiennice, to i tak za nic by nie zgadł, jaka tajemnica się za nimi kryje. I to nie było jaka tajemnica! Właśnie tam znajdowało się mieszkanie, które należało kiedyś do największego detektywa Paryża - Gustawa Darbona. Ale to nie koniec: właściciel zapisał w swoim testamencie, że każdy detektyw, który kiedykolwiek będzie w detektywistycznej potrzebie, może z tego mieszkania skorzystać. I oto pół wieku później znalazł się taki detektyw — a nawet od razu siedmiu!

Mieszkańcy zaułka Woltera

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że mieszkańcy domu nr 11 w zaułku Woltera to zwykli lokatorzy, jakich wiele w paryskich kamienicach. Jednak pozory mylą! Co łączy właściciela antykwariatu, listonosza, gospodynię domową, słynnego adwokata i trójkę nastolatków? Ich wspólny sekret: klub detek-Ferdynand

pani Jaśmina

Leon

nikola

Walentyna

tywów-amatorów. Za każdym razem, gdy pojawia się zagadka kryminalna, z którą nawet policja nie daje sobie rady, detektywi zbierają się w swojej tajnej bazie: mieszkaniu na pierwszym piętrze, należącym kiedyś do Gustawa Darbona, największego detektywa w Paryżu. Tam, między jednym a drugim kawałkiem domowego ciasta od pani Jaśminy... rusza śledztwo!

syn pani Jaśminy, Ludwik

Bruno

Ernest

Simon

Wszystkie nazwy i postaci zawarte w tej książce należą do Dreamfarm s.r.l., na wyłącznej licencji Atlantyca S.p.A. Ich tłumaczenie, jak i wszelkie adaptacje są własnością Atlantyca S.p.A.

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki - z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych - możliwe jest tylko na podstawie zgody wydawcy. Atlantyca S.p.A, Leopardi 8,20123 Milano, Italy, www.atlantyca.it, foreignrights@atlantyca.it

International Rights © Atlantyca S.p.A., via Leopardi 8,20123 Milano, Italia Wszelkie prawa zastrzeżone.

Text by Pierdomenico Baccalario & Alessandro Gatti Original cover and Illustrations by Effeffectstudios

© 2009 Dreamfarm s.r.l., via De Amicis, 53 20123 Milano, Italia © 2012 for this book in Polish language by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Tytuł oryginału: Non si uccide un grande mago Tłumaczenie: Jowita Lupa Redaktor prowadzący:

Sylwia Burdek Redakcja językowa: Małgorzata Biernacka Adiustacja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk Korekta: Dorota Ratajczak Opracowanie graficzne: MEDIA SPEKTRUM

Wydanie I, Kraków 2012 ISBN 978-83-265-0358-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o. 30-404 Kraków, ul. Cegielniana 4a telefax 12-266-62-94, tel. 12-266-62-92 www.zielonasowa.pl wydawnictwo@zielonasowa.pl

Pierdomenico Baccalario

Alessandro Gatti

Magiczna zagadka

WYDAWNICTWO §) ZIELONA

SOWA

Pierdomenico Baccalario

Alessandro Gatti

Magiczna zagadka

WYDAWNICTWO §J ZIELONA SOWA

Autorzy dziękują Guillaume'owi Caulier, który sprawił, że Paryż z zaułka Woltera wygląda jak Paryż prawdziwy

Kamienica pod numerem 11 w zaułku Woltera nie wyróżniała się za bardzo na tle innych

zabytkowych kamienic .paryskiej dzielnicy Marais. Gdyby któryś z przechodniów zawiesił na niej na chwilę roztargniony wzrok, na pewno nie przyciągnęłyby jego uwagi okiennice na pierwszym piętrze: były stare, zakurzone i przede wszystkim — zawsze zamknięte. A gdyby nawet ktoś jakimś cudem

rzucił okiem akurat na te okiennice, to i tak za nic by nie zgadł, jaka tajemnica się za nimi kryje. I to nie byle jaka tajemnica! Właśnie tam znajdowało się mieszkanie, które należało kiedyś do

największego detektywa Paryża - Gustawa Dar-bona. Ale to nie koniec: właściciel zapisał w swoim testamencie, że każdy detektyw, który kiedykolwiek będzie w detektywistycznej potrzebie, może z tego mieszkania skorzystać. I oto pół wieku później znalazł się taki detektyw — a nawet od razu siedmiu!

Rozdział pierwszy

-1-

Był cichy i ciepły wieczór. Można by powiedzieć, że przed kamienicą nie było nawet psa z kulawą nogą — gdyby nie to, że akurat w tym momencie właśnie pies z kulawą nogą przebiegł, kuśtykając na drugą stronę ulicy. Tego wieczoru nowi gospodarze mieszkania Darbona zebrali się w sekrecie

właśnie za tymi zamkniętymi okiennicami. Była to dobrana grupa miłośników tajemnic, których

łączyły dwie rzeczy: wszyscy mieszkali pod numerem 11 w zaułku Wol-tera i wszyscy byli zapalonymi czytelnikami powieści kryminalnych o detektywie Kingu Ellertonie.

Zebranie odbywało się w wielkim zielonym gabinecie, bez wątpienia najciekawszym i najbardziej tajemniczym pokoju w całym mieszkaniu (które samo w sobie też nie należało do zwyczajnych).

Wokół wielkiego stołu o drewnianych nogach rzeźbionych w lwie łapy panowała cisza, co było dziwne, zważywszy na liczbę siedzących przy nim osób. W kącie gabinetu stary zegar z wahadłem, należący jeszcze do Darbona, wybił siedem razy.

Wiktor Cormolles, listonosz mieszkający na trzecim piętrze, zaczął bębnić palcami o blat, wyraźnie zdenerwowany Nikola i Simon, dzieci nadkomisarza policji Gaillarda z tego samego piętra, westchnęły jednocześnie. Emerytowany adwokat Janvier z czwartego piętra, zwany Białym Gołębiem paryskich

sądów z powodu swej śnieżnobiałej czupryny, zerwał się gwałtownie.

— Ach, do diaska! To czekanie przekracza już granice mojej cierpliwości! — zawołał gniewnie, zaczynając chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Męki oczekiwania

-

—

Leon pewnie znowu coś kombinuje, jak zwykle... Albo zapomniał! — swoim zwyczajem zrzędził Wiktor.

Leon Kabore, ciemnoskóry chłopak z dreadami, zajmował z mamą mieszkanie na poddaszu. Jako jedyny z klubu detektywów-amatorów nie przyszedł tego wieczoru do zielonego pokoju. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, ponieważ Leon miał przynieść odpowiedź na pytanie, czy tym razem udało im się znaleźć rozwiązanie Tajemnicy Miesiąca?

Tajemnica Miesiąca był to konkurs z nagrodami zamieszczany na końcu każdej powieści o Kingu Ellertonie. Dotyczył zawsze zawiłej kryminalnej intrygi i lokatorzy spod numeru 11 w zaułku Woltera już jakiś czas temu połączyli swe siły, próbując rozwikłać kolejne edycje Tajemnicy i wygrać złoconą lupę z inicjałami K.E. Niestety - jak dotąd z marnym rezultatem. Tym razem jednak detektywi z zaułka Woltera żywili wielkie nadzieje. Ich rozwiązanie zagadki z tego miesiąca było niezwykle logiczne: mordercą był malajski awanturnik, który ukryty za kulisami, uśmiercił aktora na scenie zatrutą kurarą strzałą!

Leon wysłał rozwiązanie e-mailem do redakcji książek o Kingu Ellertonie i powinien dzisiaj dostać odpowiedź. Czemu więc tak się spóźniał?

-

Może to dobry znak - podsunęła pani Jaśmina, która mieszkała na drugim piętrze wraz z synem anty kwariuszem. - Może wygraliśmy i Leon zatrzymał

1 Kurara - wyciąg z kory pędów i korzeni południowoamerykańskich lian, zawierający trujące alkaloidy.

Rozdział pierwszy

-

się po drodze, żeby kupić coś dla uczczenia zwycięstwa!

—
Niemożliwe — skomentował jej syn. — Po drodze tutaj Leon mógł się zatrzymać tylko na schodach.

—
Ten chłopak jest NIE-OD-PO-WIE-DZIAL-NY! — wyskandował z niesmakiem Wiktor. — Taka jest prawda!

—
Zgadza się — przytaknął mecenas Janvier. — A skutek jest taki, że siedzimy tu jak na rozżarzonych węglach. Proponuję za karę pozbawić go jego kawałka ciasta!

Jak zawsze na zebranie detektywów-amatorów z zaułka Woltera, pani Jaśmina przyniosła pyszne, świeżo upieczone ciasto. Tym razem była to niebiańska szarlotka.

Ręka adwokata wyciągnęła się niczym wąż, by podstępnie porwać talerzyk z ciastem, który czekał na wprost pustego krzesła Leona. Pani Jaśmina była jednak czujna: chwyciła talerzyk i szybko odsunęła go na bezpieczną odległość.

—
Niech pan nawet o tym nie myśli, mecenasie... To dla Leona!

Byłemu księciu sali sądowej nie pozostało nic innego, jak opaść z powrotem na swój fotel z miną pełną godności, choć naburmuszoną.

—
Co za męka — mruknął. — Doprawdy, jeszcze pięć minut i wychodzę!

—
Och, nie przesadzajmy - stanęła w obronie przyjaciela Nikola. — Leon miał ostatnio jakieś problemy z modemem, pewnie o to chodzi...

Męki oczekiwania

-
Ledwo wypowiedziała te słowa, gdy z ciemnego marmurowego kominka, który był sekretnym

wejściem do zielonego gabinetu, wynurzyła się głowa z płątaniną czarnych dredów. -NARESZCIE!

—

Najwyższy czas!

—

Wstąpił do piekieł, po drodze mu było!

Wszyscy wlepili natarczywe spojrzenia w Leona.

Chłopak wyglądał na oszołomionego.

—

Złe wieści? — zapytał sucho Wiktor.

—

Straszne — przyznał Leon dramatycznie.

—

Wiedziaaałem... — zajęczał Simon. — To jednak była akrobatka ze szpilką do kapelusza! A myśmy myśleli, że malajski awanturnik, bez sensu...

Leon wytrzeszczył oczy. — Akrobatka? Ze... co?!

—

No jąkato! Czekamy już pół godziny, żeby się dowiedzieć, czy wygraliśmy Tajemnicę Miesiąca...

—

Aaa, Tajemnica Miesiąca... W sumie to zapomniałem o tym - wyznał szczerze Leon.

W zielonym gabinecie rozpętała się mała burza.

W końcu głos mecenasa Janviera zagórował nad pozostałymi:

—

Zdaje się, chłopcze, że zbyt głośno słuchasz muzyki przez te słuchawki, które masz ciągle na

uszach. Mózg ci od tego wymięka. Może powiesz nam wreszcie, czy rozwiązaliśmy Tajemnicę Miesiąca, czy nie?!

Leon nie należał do ludzi, którzy obrażają się o byle co, i wzruszył tylko ramionami.

—

Eee, trafiliśmy jak kulą w płot, jak zwykle. Mordercą był reżyser, który nasączył trucizną kopię scenariusza...

Rozdział pierwszy

-

—

Aktor wchłonął ją przez opuszki palców, ależ oczywiście! Jak mogłem na to nie wpaść! - przerwał mu syn pani Jaśminy.

—

Tak samo jak za każdym razem, mój drogi - odparła z uśmiechem jego matka. - Wpadłeś nie na to, co trzeba!

Krótki śmiech rozładował napięcie w zanurzonej w półmroku pokoju.

—Tak czy owak, straszne wieści, o których mówiłem, nie dotyczą Tajemnicy Miesiąca — oświadczył

Leon.

—

Więc o co chodzi? - zapytała zaciekawiona Ni-kola.

—

W radiu mówili, że wczoraj w nocy, w hotelu Etoile, ktoś próbował zabić Wielkiego Offenbacha!

—

Offenbacha, króla magików?! — zawołał wstrząśnięty syn pani Jaśminy.

—
Taki przystojny mężczyzna... — rozmarzyła się jego matka.

—
Hmmm... - mruknął Janvier, gładząc się po brodzie. — Mag Offenbach... Pamiętam, jak spotkałem go na jakiejś uroczystej kolacji parę lat temu. Prawdziwy geniusz!

—
Fakt — potwierdził Leon. — To największy iluzjonista naszych czasów, legenda magii! Jego sztuczki są niesamowite...

—
I mówisz, że ktoś usiłował go zamordować?

—
Tak, ktoś uderzył go w głowę ciężkim wazonem. Wylądował w szpitalu, walczy o życie...

—
Ciekawe, co to był za wazon... — zastanawiała się pani Jaśmina.

Męki oczekiwania

-
—
Paskudna sprawa — stwierdził adwokat.

—
Paskudna, owszem, ale to może być sprawa dla detektywów z zaułka Woltera! - rzucił syn pani Jaśminy z błyskiem w oku.

—
W sumie hotel Etoile jest rzut beretem stąd... -zauważyła Nikola.

O nie, nie teraz! To temat na następne spotkanie! Jest już późno, a ja muszę jeszcze

przygotować kolację — zarządziła pani Jaśmina.

Na słowo „kolacja” mecenas Janvier natychmiast się rozpromienił. — A jakie skarby kryje dzisiaj kuchnia drogiej pani? — zapytał.

—

Cassoulet² po prowansalsku! — odpowiedziała dumna z siebie kucharka. — Hmm, coś mi mówi, że miałby pan ochotę przyłączyć się do nas, prawda, mecenasie?

Janvier westchnął, podrapał się po brodzie, skrzyżował ręce na piersi i znowu westchnął. Pomyślał o domowym wieczorze, który będzie pewnie taki sam, jak tysiące wieczorów do tej pory: na kolację ryż z warzywami, obok żona w szlafroku komentująca wiadomości z telewizyjnego dziennika, a potem

trwająca wieczność partia brydża z inżynierem Po-uilletem i jego małżonką — wszystko to nudne jak flaki z olejem... Ale nagle ten przygnębiający obraz

² Cassoulet [wym. kasule] - jedna z najslawniejszych potraw południowej Francji; przygotowana i podawana w ogniotrwałym naczyniu ceramicznym zapiekanka z białej fasoli, wieprzowiny, baraniny, boczku wędzonego, cebuli, marchwi, pietruszki, porów, selerów z dodatkiem czosnku, liści laurowych, masła, kawałków bagietki, tymianku i pieprzu.

Rozdział pierwszy

rozwiął się, triumfalnie zastąpiony pysznym cassoulet pani Jaśminy.

— Do diabła, tak! — zawołał adwokat. — Dajcie mi chwilę, wymyślę jakąś wymówkę dla żony i już u was jestem!

Bez dwóch zdań — wreszcie przyszła wiosna. Przez wielkie okno naleśnikami Petit Canard, do której rodzeństwo uwielbiało przychodzić, widać było, że miasto budzi się do życia z zimowego odrętwienia.

Tłumy paryżan płynęły chodnikami odchudzone z płaszczy i szalików, a wszystkich i wszystko owiewał

wietrzyk z południa - już prawie całkiem ciepły. Pewnie to ten wiosenny wietrzyk sprawił, że Nikola i Simon mieli ogromny apetyt.

—

To co, zamawiamy jeszcze jeden? — zapytała Nikola brata nad pustym talerzem. - Na pół?

—
Chyba chciałaś powiedzieć: zamawiamy jeszcze po jednym!

Bernard, wąsaty właściciel Petit Canard, przyjął więc zamówienie na dwa kolejne naleśniki z czekoladą i po chwili wyłonił się z kuchni, niosąc swoje przepyszne dzieła sztuki.

Rozdział ri

Nikola i Simon siedzieli tam gdzie zawsze: w rogu lokalu, przy oknie. Zwykle ich najlepszą zabawą było obserwowanie i komentowanie tego, co się działo na zewnątrz. Dziś jednak byli dziwnie milczący i tylko zerkali na siebie spod oka, jakby chcieli się nawzajem o coś zapytać.

W końcu Simon przerwał ciszę.

—
Myślisz o tym, co ja myślę, że myślisz? — zagadnął siostrę podchwytliwie.

—
Hmmm... A o czym myślisz, że ja myślę?

—
Nie wymiguj się!

- No to... myślałam o sprawie hotelu Etoile — odpowiedziała dziewczyna, wskazując na gazetę leżącą na stoliku obok. Na pierwszej stronie tytuł krzyczał wielkimi literami: ZAGADKA HOTELU ETOILE. A pod nim: Offenbach w ciężkim, stanie. Policja porusza się po omacku.

—
Ja też o tym myślałem — przyznał się Simon. — A właściwie to myślałem o Magu Offenbachu.

—
A co dokładnie?

—
Noo... ten magik mi się z czymś kojarzy... Ale nie mogę sobie przypomnieć z czym!

Wielki Offenbach -
—

Nic w tym dziwnego - odparła Nikola złośliwie. — Ty też jesteś niezły magik!

—

Ja? Co masz na myśli?

—

Zawsze jak mama każe nam posprzątać w pokoju, wszystkie twoje brudne rzeczy od razu magicznie znikają pod łóżkiem!

W odpowiedzi chłopak pokazał siostrze język.

Nikola westchnęła demonstracyjnie. Jej dwunastoletni brat zachowywał się jeszcze jak zupełny dzieciak, podczas gdy ona, która skończyła trzynaście, czuła się już dorosła.

Oboje wrócili do jedzenia, jednak nie na długo — chwilę potem Simon uniósł gwałtownie głowę znad talerza.

—

Już wiem!

-Co?

—

Przypomniałem sobie... No, kończ szybko naleśnika, zbieramy się!

—

Ale dlaczego?

—

Bo muszę coś sprawdzić w domu!

Simon już taki był — gdy wpadł na jakiś pomysł, nie czekał ani sekundy. Nikola wiedziała, że nie ma sensu się'ociągać, połknęła więc w pośpiechu resztę naleśnika. Zapłacili Bernardowi i wypadli z Petit Canard, rzucając się pędem w kierunku zaułka Wol-tera.

Winda nie przyjechała w ciągu 5 sekund, więc Simon uznał, że dłużej czekać nie ma sensu i wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zadyszana Nikola ledwo dotrzymywała mu kroku. Gdy

Rozdział drugi

weszli do domu, od progu usłyszeli głos mamy. Na szczęście rozmawiała przez telefon — z jej pokoju dobiegało na przemian „pewnie, że tak” i „nie o to nam chodziło!”.

Mogli się przemknąć niewidzialni — droga była wolna!

Simon wystrzelił jak z procy wprost do składziku i natychmiast zaczął szperać po półkach.

-

Wyjaśnisz mi wreszcie, o co chodzi? - Nikola zaczynała już tracić cierpliwość.

-

Sekundkę... Jeszcze sekundkę... - brat nerwowo przerzucał wszystko do góry nogami. Kartony ze starymi fotografiami, szczątki urządzeń gospodarstwa domowego, zakurzone książki...

-

Byłbyś chory, gdyby nie udało ci się ściągnąć na nas awantury, co?

Ale Simon szukał dalej jak w amoku, aż w końcu zawołał triumfalnie: - ZNALAZŁEM! - i potrząsnął w powietrzu kolorowym pudełkiem.

Nikola przyglądała się przedmiotowi, który jej brat wydobył z otchłani zapomnienia. Z wierzchu widać było postać szeroko uśmiechniętego mężczyzny we fraku, a kolorowy podpis głosił:

„NIEWIARYGODNE SZTUCZKI WIELKIEGO OFFENBACHA. I ty zostaniesz iluzjonistą dzięki trikom króla magików!”.

Co to ma być?! - To tylko stary prezent - stwierdziła Nikola.

-

Wreszcie! Tak myślałem, że skądś znam tego magika...

Wielki Offenbach

Nikola wpatrywała się w twarz Offenbacha.

—

Popatrz, jak się miło uśmiecha... Aż trudno uwierzyć, że ktoś mógłby chcieć go zabić — zauważyła.

—
No właśnie! I dlatego my, detektywi z zaułka Woltera, powinniśmy zacząć śledztwo w tej sprawie! — oświadczył z przekonaniem Simon.

Ale w tej samej chwili na twarzy Nikoli odmalował się złowieszczy uśmiech.

—
Co? Co masz taką minę? — dopytywał się podejrzliwie brat.

Dziewczyna zachichotała. — A, bo sobie wszystko przypomniałam...

—
Niby co?

—
Jak rodzice dali ci pudełko Offenbacha na ósme urodziny i jak od razu po obiedzie urządziłeś pokaz magii!

Simon zaczerwienił się gwałtownie. — Taaa, jasne... Zmyślasz! Nic takiego nie pamiętam... - burknął.

Na jego nieszczęście siostra pamiętała wszystko doskonale.

—
Węzeł na magicznym sznurze zamiast cudownie się rozwiązać, zacisnął się tak, że nawet tata nie mógł sobie z nim poradzić - wyliczała Nikola. - Potem kazałeś nam wybierać karty ze znaczonej talii i próbowałeś je odgadnąć... Ani jednej nie trafiłeś. A na wielki finał była kulka, która miała zniknąć w czarodziejskiej skrzynce... Ale zamiast tego wylądowała w talerzu cioci Natalii!

—
A właśnie, że w talerzu wujka Alberta! I daj już spokój - wymamrotał niechętnie Simon.

Rozdział r

—
Ani mi się śni! A na dodatek jak już sobie przypomniałam twoje wygłupy z trikami Maga

Offenbacha, to wiesz co ci powiem?

-Co?

—

Ze teraz jesteś moim podejrzanym numer jeden w sprawie hotelu Etoile!

i ✓

Syn pani Jaśminy, siedząc w starym skórzanym fotelu, rozkoszował się półmrokiem zielonego gabinetu detektywa Darbona. Z jego zabawkowej fajki wyskakiwały jedna po drugiej tęcze bańki mydlane (próbował kiedyś palić prawdziwą fajkę, ale jego ataki kaszlu nie dawały spać wszystkim sąsiadom dookoła). Ludwik uwielbiał przychodzić na zebrania klubu z zaufka Woliera jako pierwszy.

Mógł wtedy w ciszy i samotności wyobrazić sobie, że jest wielkim detektywem - jak Darbon albo King Ellerton w końcowym, spektakularnym akcie jakiegoś słynnego dochodzenia.

Tak było i teraz. Wyobraziwszy sobie, że zgromadził w gabinecie podejrzanych o morderstwo, aby z niezawodną błyskotliwością wskazać wśród nich winnego, młody antykwariusz zerwał się nagle i zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami — dokładnie tak, jakby to zrobił wielki detektyw.

Rozdział trzeci

—

Panie i panowie! — rozpoczął, oczami wyobraźni widząc wokół siebie mężczyzn w smokingach i damy w futrach. — Dzisiejszego wieczoru będę miał przyjemność odsłonić przed wami zawiloci tej intrygi...

Mieszając z sobą szczegóły zaczerpnięte z przeczytanych ostatnio powieści kryminalnych, przedstawił

z zapałem jakąś absurdalną i pogmatwaną historię policyjną. Po kilku minutach przemowy wielki detektyw Ludwik zrobił pauzę dla większego efektu, wydmuchał z fajki kilka baniek, po czym zwrócił

się do starego szkieletu anatomicznego zawieszzonego na ścianie i ogłosił triumfalnie: - Oto dlaczego nie kto inny, lecz właśnie pani, baronowo Charbonnier, wsypała arszenik do nalewki migdałowej !

Rozległ się zduszony śmiech i... dopiero w tym momencie syn pani Jaśminy zauważył, że za jego

plecami stali adwokat Janvier i listonosz Cormolles.

—
Sądząc po tym, w jakim stanie jest baronowa, pańskie przemówienie śmiertelnie ją przeraziło! — zauważył adwokat, gdy tymczasem Wiktor krztusił się ze śmiechu.

Ludwik spurpurowiał i pośpiesznie wetknął fajkę do kieszeni. Nim zdążył jednak wymyśleć jakąś druzgocącą odpowiedź, w gabinecie zjawili się pozostali członkowie klubu detektywów: pani Jaśmina, Niko-la, Simon i Leon.

Antykwariusz natychmiast skorzystał z okazji, by wyjść z twarzą z tej trudnej sytuacji.

—
Witajcie, drodzy przyjaciele! Proszę, zajmijcie miejsca. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zaczniemy od

Co robić?

razu — oświadczył z godnością, przyjmując pozę przewodniczącego zebrania.

Rodzeństwo Gaillard przytaknęło z przekonaniem.

—
Dzisiaj nie możemy siedzieć za długo... — powiedziała Nikola.

—
Taak, bo... mama depta nam po piętach — dodał Simon. Zebranie rozpoczęło się. Pierwsze minuty zajęła chyba setna już próba wymyślenia dla klubu odpowiedniej nazwy. „Kółko Zielonego Gabinetu”, „Spadkobiercy Darbona”, „Przyjaciele Zagadki”... Jak zwykle propozycji było wiele i jak zwykle żadna nie spodobała się wszystkim. Przystąpiono zatem do drugiego punktu porządku zebrania.

—
„Określenie, jakie czynności śledcze należy podjąć w następnej kolejności” — zapowiedział syn pani Jaśminy, czytając z kartki, którą sobie wcześniej starannie przygotował.

—
Czyli mówiąc po ludzku: co teraz, u diabła, mamy robić — przetłumaczył Wiktor.

—
No jak to co! — Leon aż podskoczył na krześle. — Sprawa hotelu Etoile!

—
Tak, koniecznie! — poparł go Simon. — Tata mówił wczoraj przez telefon, że policja nic z tego nie rozumie! To chyba jasne, że musimy jej pomóc!

—
A poza tym Mag Offenbach to taka znana postać... To będzie ekscytujące! - zauważyła z przejęciem pani Jaśmina, biorąc się do nakładania wszystkim kawałków piernika o bardzo smakowitym wyglądzie.

Rozdział t

-
—
Spokojnie, spokojnie... — przerwał jej syn. — Przypominam, że mamy już coś innego na tapecie.

—
Faktycznie, mi też się tak zdawało — przyznał mecenas Janvier. — Ale o co to chodziło?

—
O sprawę Pierniczka!

—
Ze... co?

—
Kogo?

—
Czego?

—
Pierniczka? Masz na myśli to, co widzę tu przed sobą na talerzu? — zapytał złośliwie Wiktor.

—
Nie. Chodzi o kota pani Rampier z drugiego piętra. Zaginął dwa tygodnie temu.

Przez zielony pokój przetoczyły się salwy śmiechu.

—
Ten rozpieszczony futrzak?

—
Waży chyba ze sto kilo!

—
Ze też coś tak dużego mogło się w ogóle zgubić!

—
Przynajmniej łatwo się znajdzie. Taki kawał kota rzuca się w oczy!

—
Ale w sumie to kogo obchodzi, że zagięło jakieś kocisko!

—
Mnie obchodzi. Ja zawsze lubiłam Pierniczka... — odparła trochę rozzalona Nikola.

—
Nooo tak, wiemy co czujesz, ale sprawa Maga Offenbacha to jednak co innego... — zauważył dyplomatycznie Leon. Simon nie był taki delikatny:

—
Wiesz co? To ty się zajmij szukaniem tłustego kota, a my zabierzemy się za prawdziwą sprawę

kryminalną — zaproponował siostrze.

Co robić?

-

A właśnie że obok sprawy z hotelu Etoile zajmę się śledztwem także w sprawie Pierniczka - odcięła się dziewczynka.

-

Dzieciaki, dzieciaki... Do rozwiązania każdej sprawy kryminalnej, nieważne małej czy dużej, potrzebne jest to samo: trzeźwość umysłu — mecenas Ferdynand uspokajał rodzeństwo, które było już o krok od kłótni. - Trzeba jednak powiedzieć, że o ile w sprawie kota pani Rampier śledztwo jest łatwe,

0

tylko w przypadku Offenbacha nie wiemy nawet, od czego zacząć!

-

Racja — przytaknął młody antykwariusz. — Nie jesteśmy policją, więc jeśli będziemy węszyć po hotelu tej klasy co Etoile, ochroniarze wyrzucą nas na bruk szybciej niż powiemy „placek z jagodami”!

-

No, jeśli to jedyny problem... - powiedział lekceważąco Wiktor, wzruszając kościstymi ramionami.

Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością.

-

Chcę tylko powiedzieć, że mam... ehm, pewne znajomości, które... eee... które mogą się nam przydać, żeby wejść bez przeszkód do Etoile.

-

Dyrektor hotelu? - zapytał Leon.

-
Ale skąd, jaki dyrektor... Szef kuchni! — wyjął Wiktor.

-
To nawet lepiej — zauważył mecenas Janvier. — Nikt nie zwraca uwagi na to, kto wchodzi do kuchni!

-
Wspaniale! To teraz trzeba tylko opracować plan

1
ruszamy ze śledztwem! — zawołał Simon entuzjastycznie.

Wszyscy ochoczo się zgodzili.

Rozdział trzeci

„Dochodzenie w sprawie próby zabójstwa Maga Offenbacha” - zanotowała skrupulatnie Nikola w swoim notesie z czerwoną okładką.

Błyskawicznie ustalono plan działania i zebranie detektywów z zaułka Woltera zakończyło się ogromnym podekscytowaniem. Nowe śledztwo na horyzoncie zawsze poprawiało wszystkim humory,

ale dawno nie trafiło im się coś tak wielkiego! Pani Jaśmina zebrała talerzyki po cieście, zgasiła światło w zielonym gabinecie i wszyscy członkowie klubu zaczęli opuszczać pokój jak zwykle na czworakach -

przez sekretne przejście w kominku.

Nikola i Simon wyszli jako pierwsi i pobiegli dalej. Podekscytowani perspektywą śledztwa w luksusowym hotelu, zdążyli już zapomnieć o swoim „starciu o Pierniczka”.

-
Czytałam w gazecie, że Offenbach przyjechał do Etoile na światowy kongres iluzjonistów —

szeptnęła siostra, gdy przebiegali po ciemku tajny korytarz prowadzący z zielonego gabinetu Darbona do piwnicy.

-

Też widziałem ten artykuł! Ale frajda: najlepsi magicy świata w tym samym hotelu! Może... to był jeden z nich?

-

Właśnie! Możliwe, że jeden z rywali Offenbacha chciał...

Ale Nikoli nie dane było dokończyć. Nagle tuż obok nich rozległ się głos tak nieoczekiwany i przerażający jak huk wystrzału!

-Hej! WY DWOJE!!

Przyłapani!

To było gorsze niż wywołanie do tablicy. Gorsze niż przyłapanie na jedzeniu naleśników zaraz po złożeniu obietnicy, że już nigdy nie będą. Gorsze niż... niż wszystko! Bo ten głos... to mogła być tylko jedna osoba... i to była właśnie ona. MAMA!

Rodzeństwo Gaillard przykleiło się rozpaczliwie do ściany piwnicy.' Wokół było dość ciemno - może mama ich nie zauważyła? Może jeszcze ich szuka i zawołała tylko na próbę? Stali ze wstrzymanymi oddechami, błagając niebiosy o cud. Ale cud nie nastąpił, za to nastąpiło coś całkiem odwrotnego: nagle rozległo się krótkie „klik" i piwnicę zalało słabe światło.

- Nikola! Simon! A więc tu jesteście!!! - Walentyna Gaillard patrzyła na swe dzieci z rękoma wspartymi na biodrach i zmarszczonymi brwiami - groźna jak chmura gradowa i w takim samym mniej więcej nastroju.

Przyłapani!

Brat i siostra robili się coraz mniejsi, mając nadzieję, że może w końcu znikną. Nie znikali jednak, a mama wpatrywała się w nich ze złością. Trzeba było działać!

Nikola otrząsnęła się pierwsza.

—

Yyy, cześć, mamó. Co tu robisz?

Pani Walentyna zezłościła się jeszcze bardziej - jeżeli to było w ogóle możliwe.

—

Co ja tu robię?! - wybuchła. - Chyba raczej co WY tu robicie?! - Spojrzała na zegarek. - Macie

pojęcie, która jest godzina?

—

Noo... nie. W sumie to nie — wymamrotał Simon.

—

Ups — powiedziała Nikola, sprawdzając godzinę w komórce. - Pora kolacji.

—

No właśnie! Dzwoniłam z dziesięć razy, nawet poszłam was szukać w naleśnikami! Można wiedzieć, od kiedy to wolno wam wychodzić bez słowa?

—

A tata już przyszedł?

—

Nie zmieniaj tematu, Simon! Tata nie wraca dziś wieczór, za to ja rhuszę iść na premierę do teatru!

—

A na co idziesz?

—

Simon! Nie doprowadzaj mnie do ostateczno-

—

Ale ja naprawdę chcę wiedzieć!

-

A JA naprawdę chcę wiedzieć, co robicie w piwnicy o tej porze?! I od kiedy w ogóle macie do niej klucze?

Rodzeństwo spuściło wzrok, zawstydzone i nieszczęśliwe. To panią Walentynę trochę zmiękczyło.

Rozdział czwarty

-
Właściwie nie do końca chciała się do tego przyznać sama przed sobą, ale zezłościła się tak bardzo nie tylko z powodu zniknięcia dzieci. To też było denerwujące, oczywiście — z tego powodu będzie musiała podać kolację w pośpiechu i pewnie zdąży do teatru na ostatnią chwilę, o ile się nie spóźni.

Ale... najgorsze było to, że znowu pójdzie tam sama, bez męża.

—
Na Tragedię biednego bogacza - powiedziała po chwili ciszy.

-Co?

—
Pytałeś, na co idę do teatru. W Lumière grają dziś Tragedię biednego bogacza.

—
Bleeee!

—
No nie, Simon! Teraz masz jeszcze coś do powiedzenia na temat sztuki, którą idę obejrzeć?!

—
Ale... ja nic nie mówiłem! — bronił się chłopak.

—
Przecież słyszałam! Powiedziałeś „bleee"! Ze niby teatr jest obrzydliwy! To co w takim razie ja mam powiedzieć o tych bzdurnych filmach ze statkami kosmicznymi, które przez cały czas oglądasz?!

—
Naprawdę NIC nie mówiłem!

—
Słyszałam przecież! A teraz marsz do domu!

-Ale... i

Nikola szturchnęła brata czerwonym notesem, jakby dając mu do zrozumienia „przestań już, bo tylko ją wkurzasz!". Walentyna zauważyła ten gest i zapytała: - A to co? Do czego ci tu potrzebny notes?

Dziewczyna natychmiast schowała ręce za plecami, ale nie dosyć szybko.

Przyłapani!

—
Och, do niczego, mamó! Naprawdę do niczego!

—
Pokaż!

—
Mamo... późno już, kolacja czeka...

—
Notes. I to już! - rozkazała niewzruszona Walentyna Gaillard.

Nikola znalazła się w sytuacji bez wyjścia: gdyby się uparła, że nie pokaże zeszytu (w którym były przecież zapisane wszystkie poszlaki dla detektywów z zaułka Woltera!), mama nabrałaby jeszcze większych podejrzeń; ale gdyby go pokazała, Walentyna miałaby dowód tego, czym się zajmowali.

Dramatyczną sytuację rozwiązało nagle nieoczekiwane pojawienie się kogoś nowego.

—
Bleee! — powtórzył książkę sali sądowej, ujawniając swą obecność (schował się w ciemnym kącie piwnicy, gdy tylko zauważył nadejście żony komisarza). -Z pewnością nie mogę się uważać za krytyka teatralnego, pani Gaillard, ale moim skromnym zdaniem Tragedia biednego bogacza to naprawdę żałosny spektakl.

Walentyne zatkało — i w tym samym momencie zgasło światło. Jak we wszystkich wspólnych

częściach budynku, także w piwnicznym korytarzu oświetlenie działało tak, że świeciło równo dwie minuty, po czym automatycznie gasło. Był to bardzo rozsądny sposób, żeby uniknąć niepotrzebnego zużycia prądu. Nim Walentyna Gaillard ponownie wcisnęła włącznik, ciemność trwała nie dłużej niż parę sekund. Była to jednak wystarczająca chwila, by czerwony notes Ni-koli zdążył przeskoczyć z ręki dziewczyny do kieszeni w marynarce adwokata.

Rozdział czwarty

-

Gdy znów zrobiło się jasno, zdumienie wywołane niespodziewanym pojawieniem się adwokata zmalało na tyle, że Walentyna odzyskała głos.

—
Mecenasie? Pan też tutaj?

—
Pani Gaillard...

—
Można wiedzieć, co się tu dzieje? Co wy robicie w trójkę w piwnicy?

Pan Ferdynand spojrzał zdziwiony na dwoje dzieciaków.

—
Czy przebywanie w piwnicy jest zabronione przez regulamin wspólnoty mieszkańców?

Walentyna sapnęła zirytowana.

—
Nie chcę, żeby mnie pan źle zrozumiał...

—
A ja nie chcę, żeby pani źle zrozumiała mnie. Pani dzieci są urocze i bardzo dobrze wychowane.

—
Dziękuję, ale...

—
I to ja przed chwilą zawołałem „bleee”, gdy usłyszałem, na jaki spektakl wybiera się pani dzisiaj wieczoru! I pozwolę sobie to powtórzyć, łaskawa pani. Z pewnością jest to wydarzenie, które można sobie darować.

—
Być może jest tak, jak pan mówi, mecenasie, ale ja mam już bilety. I muszę napisać recenzję.

—
Może to pani zrobić nawet bez oglądania - zapewnił adwokat. — Ja tymczasem... — tu zatarł rękę

—
pójdę teraz na kolację. Wie pani, nim żona mnie przyłapie... — Janvier uśmiechnął się do pani Gaillard.

—
Obieca mi pani, że nic jej nie powie? Musiałem... znieść parę pudeł do piwnicy, zanim ona się zorientuje, że nie zrobiłem tego wcześniej... a... a pani dzieci

Przyłapani!

były tak miłe, że... — stary gwiazdor paryskich sądów puścił oko do dwójki dzieciaków, wskazując im drogę wyjścia z kłopotliwej sytuacji. Nikola w lot złapała okazję.

—
No właśnie, mnóstwo pudeł! Nie mogliśmy pozwolić, żeby pan mecenas sam je dźwigał.

—
Strasznie ciężkie pudła! - podchwycił Simon. Pani Walentyna spojrzała podejrzliwie najpierw na
adwokata, a potem na swoje dzieci.

—
Pudła, mówicie?

—
Tak! Cała góra pudeł! — potwierdził gorliwie jej syn.

—
Mecenasie... — uśmiechnęła się pani Gaillard. — To wszystko brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Mój Simon miałby wykonać za kogoś męczącą pracę? To najbardziej

niewiarygodna historia, jaką słyszałam

—

Jak to, mamó! A ta kobieta, która trzymała zdechłe koty w zamrażarce?

—

Simon!!! Policzymy się później.

Mecenas Janvier ujął ją delikatnie pod ramię, próbując skierować w stronę wyjścia.

—

Ten młody człowiek bardzo mi przypomina niżej podpisanego, gdy był w jego wieku, wie

pani? — oświadczył pochlebnie. - Sprawny język, błyskotliwy umysł... Powinna pani na serio rozważyć pomysł, żeby go skierować ku karierze adwokackiej! A tymczasem opuśćmy może to ponure

miejsce...

Zdawało się już, że niezrównany i czujny jak grzechotnik pan Ferdynand w doskonały sposób uratował sytuację, gdy niespodziewanie...

od lat!

Rozdział czwarty

-

—

Tralla-lalla-li...

Walentyna zatrzymała się raptownie.

—

Słyszeliście?

Oczywiście, że słyszeli. Słyszeli doskonale wszyscy troje. Ale dzieciaki energicznie zaprzeczyły.

—

Słyszeliśmy?!

—
Co niby mieliśmy słyszeć?

Mecenas mocniej chwycił ramię pani Walentyny, próbując wyprowadzić ją z piwnicy.

—
Nie... Ja też nic nie słyszałem - zapewnił.

-Tralla-lalla-li...

—
Och, coś takiego! Przecież ktoś tu podśpiewuje — upierała się pani Walentyna.

Podśpiewuje?! Ależ nie! Może to wy?

—
Nieeee...

—
Na pewno nie.

—
Czyście zwariowali wszyscy troje? — zdenerwowała się mocno pani Walentyna. — Mówię wam, że ktoś tu podśpiewuje.

—
Uwolniła się z uchwytu adwokata i zrobiła kilka kroków w stronę swoich dzieci.

—
...lalla-li, lalla-li! - dokończył ktoś triumfalnie i zza zakrętu korytarza wyłoniła się pani Jaśmina, niosąc stos talerzyków.

—
Pani Jaśmina? - zapytała ze zdumieniem pani Gaillard.

—
Och, pani Walentyna! Co za miła niespodzianka!

—

Dzisiaj jest po prostu wieczór niespodzianek, proszę mi wierzyć!

Przyłapani!

Zanim uczuciowa śpiewaczka zdążyła coś odpowiedzieć, zgasło światło. „Klik” — znów zrobiło się jasno i okazało się wówczas, że tuż przed nosem pani Walentyny wyrósł Wiktor Cormolles.

—
Dobry wieczór, pani Gaillard. I do widzenia — syknął listonosz i skierował się do wyjścia swoim charakterystycznym, niezgrabnym krokiem.

Powiedzieć, że pani Walentyna wpadła w osłupienie, to mało. Wydawała się wręcz... przestraszona! Mecenasy Janvier i pani Jaśmina spojrzeli po sobie z niepewnymi minami. Simon skubał nerwowo brzeg bluzy, a Nikola czuła, że zaczyna się czerwienić.

—
Czy mnie wzrok nie myli — wyszeptała Walentyna — czy to pan Cormolles wyszedł stąd przed chwilą?

—
Tak, to chyba on - odpowiedziała pani Jaśmina wymijająco, po czym uznała, że pora na zmianę tematu. — Jak się miewa mąż?

Ale pani Gaillard nie dała się nabrać.

—
Mniejsza o to teraz, jak się miewa, ale cała ta sytuacja tutaj wygląda jak... jak... jakiś spisek!

—
Ależ pani Walentyno!

—
Mamo! No co ty!

—
Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, co się tu dzieje?

—
Och... Cóż... Nic się nie dzieje.

—
Nie wierzę! Moje dzieci, potem mecenas Janvier, pani... I jeszcze pan Cormolles... Wszyscy czworo w piwnicy? Po co?

—
Zbieg okoliczności. Zgadza się, mecenasie?

—
Właśnie tak — zgodził się zapytany, a wąsiki zadrgały mu niebezpiecznie.

Rozdział czwarty

Ale Nikola uznała, że wystarczy już tej zabawy w chowanego. Było jej trochę żal mamy, która wyglądała na bardzo zaniepokojoną, a poza tym wszystkim kończyły się już pomysły na wymówki!

Nikola wzięła głęboki oddech i spytała:

—
A według ciebie, mamó, to co robimy w tej piwnicy?

—
Nie mam pojęcia, moja panno... Ale nie ruszę się stąd, dopóki nie usłyszę ze szczegółami, co tu się dzieje!

—
A gdybyś miała... sama odgadnąć? - zapytała córka odważnie.

—
Nikola! — zawołała groźnie Walentyna. — Co to za pomysły!

Simon przyszedł siostrze z pomocą:

—

No wiesz, mammo... Wyobraź sobie, że jesteś Kingiem Ellertonem...

—

Co ma do tego King Ellerton! Oszaleję!

—

To niegłupi pomysł, droga pani — powiedział figlarnie adwokat, odgadując zamiary rodzeństwa.

—

No więc, gdybyś była Kingiem Ellertonem, mammo... to do jakich doszłabyś wniosków?

—

Co to ma być, jakiś test?

—

W pewnym sensie — przytaknęła z uśmiechem pani Jaśmina.

—Jak to, pani też się w to bawi? I mecenas? — Walentyna była zdumiona.

—

Zamiast się wymigiwać, proszę przeanalizować poszlaki — zachęcił ją pan Ferdynand.

—

Poszlaki, mówicie?

Przyłapani!

—

Właśnie tak.

—

Chyba wszyscy dziś powariowaliście! Ale z drugiej strony... Co prawda powinnam się już ubierać do wyjścia... Hmm...

—

No, mamó! Raz kozie śmierć! — zawołał Simon.

W normalnej sytuacji Walentyna Gaillard spioru-

nowałaby syna wzrokiem za taką odzywkę, ale teraz siedziała już po uszy w dedukcji.

—
Po pierwsze... Nie nosiliście żadnych pudeł do piwnicy. Jestem tego pewna z bardzo prostego

powodu: Nikola ma na sobie ulubioną koszulkę, której w żadnym razie nie włożyłaby, gdyby istniało ryzyko, że ją ubrudzi... Poza tym... pokażcie mi ręce. Pan też, mecenasie. — Walentyna pokiwała głową. — Tak przypuszczałam: żadne z was nie ma brudnych rąk.

—
Mogliśmy je umyć — zgłosił wątpliwość emerytowany książę sali sądowej.

—
Tak, ale... umywalka jest na górze, w korytarzu.

—
Proszę mówić dalej — zachęciła pani Jaśmina. Walentyna spojrzała na nią.

—
Poza tym... znam swoje dzieci. Przede wszystkim są koszmarnie ciekawskie. Ciekawskie i

łakome. A pani, pani Jaśmino, trzyma w rękach talerzyki... i paterę, na której są okruszki — pani Walentyna przejechała po paterze palcem, który następnie obejrzała pod światło. Dokładnie w tej chwili żarówka zgasła ponownie, a gdy zabłysło światło, okruszków już nie było. Pani Gaillard z przekonaniem pokiwała głową. - Piernik. Zresztą wyborny.

Rozdział czwarty

-1-

—
Dziękuję!

—
Nie ma za co... W każdym razie, talerzyków jest siedem. Cztery osoby są tutaj, do tego pan

Cor-molles, który pożegnał nas tak pośpiesznie... brakuje dwóch. Pani syn, być może?

Walentyna Gaillard rzuciła okiem za imponującą sylwetkę pani Jaśminy. — Ukrył się gdzieś w głębi?

Czy wyszedł wcześniej? Czekajcie! Kiedy was szukałam, zauważyłam, że winda jechała na ostatnie piętro, na poddasze. Leon też ma z tym coś wspólnego? Jeden, dwa, trzy... siedem. No i mamy wszystkich członków tej lokatorskiej konspiracji. A jaki jest cel tych spotkań? Hmmm...

Przemaalowanie kamienicy? Nie, to już było... Jakaś wspólna gra? Niewykluczone, ale wiedziałabym o tym: Simon uwielbia gry i na pewno by się wygadał. Czyli musi to być jakaś tajna działalność. Może nawet trochę zakazana. Coś, o czym nie opowiada się mamie...

Wszyscy wymienili spojrzenia.

—

Nieźle - skomentował Janvier.

—

Naprawdę nieźle — zgodziła się pani Jaśmina.

—

Nie mówiliście, że wasza mama jest taka świetna! - zawołał adwokat rozpromieniony.

Dzieciaki mamrotały coś pod nosem, czując na sobie przeszywający wzrok pani Walentyny.

—

Gdybyśmy mieli ją w zespole, może udałoby się nam rozwiązać Tajemnicę Miesiąca! -

uśmiechnęła się pani Jaśmina.

—

Znowu ten King Ellerton... — mruknęła Walentyna Gaillard. — Tym razem winny był reżyser, prawda?

Przyłapani!

Janvier uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Do diabła! Mówiłem!

—

Tak, w każdym razie... — mruknęła pani Jaśmi-na. - Co teraz?

—
Myślę, że nie ma wątpliwości — odparł adwokat.

-Ja też.

—
Dzieciaki?

—
Okej... — bąknął Simon.

—
Dla mnie w porządku - stwierdziła Nikola.

—
Może powiecie mi łaskawie, czy zdałam ten dziwaczny test? - zirytowała się Walentyna Gaillard.

Adwokat szarmancko ujął ją pod ramię i zachęcił, by towarzyszyła mu w kierunku dokładnie przeciwnym niż przed chwilą. To znaczy do apartamentu wielkiego Darbona.

Pięć minut później mama Nikoli i Simona siedziała w zielonym gabinecie, w imponującym fotelu z czerwonej skóry, należącym niegdyś do Darbona. Jej niedowierzający wzrok przeskakiwał po licznych osobliwościach zebranych w pokoju.

—
A to ci historia... I mówicie, że to nie są żarty...

—
Ani trochę.

—
To wszystko prawda, mamó.

—
Gabinet jest teraz siedzibą klubu.

—
A jak się nazywa ten klub?

—
Och, to jeszcze jest do ustalenia, moja droga, ale może dojdziemy do porozumienia za parę miesięcy... albo lat... — pani Jaśmina przerwała raptownie.

Rozdział czwarty «fi-

Z głębi mieszkania dobiegł zgrzyt klucza w zamku, potem stara drewniana podłoga zaskrzypiała pod czyimiś krokami i do gabinetu wszedł Ludwik.

—
Zobaczyłem światło i... - widok żony inspektora Gaillarda odebrał mu głos. Jego twarz zaczerwieniła się ogniście. — Pani...?!

—
Potem ci wyjaśnimy - szepnęła jego matka.

-Ale...

—
Przyłapała nas przy wyjściu z komina.

Syn pani Jaśminy usiadł mocno zmieszany na swym honorowym miejscu przy stole. — Może lepiej, żebym zawołał innych — zasugerował.

—
Och, nie... - powiedziała szybko Walentyna. -Nie wołajcie nikogo. Ja... ja zaraz idę. Nie miałam pojęcia... I mieszkanie należało do detektywa Dar-bona, mówicie?

—
Właśnie. Słyszała pani o nim?

—
Ależ oczywiście. Któż by go nie znał w Paryżu. — Walentyna i syn pani Jaśminy wymienili

długie spojrzenie. — Jeżeli się nie mylę, był arystokratą, wykształconym ekscentrykiem...

—
I romantykiem... — dodał antykwariusz, czerwieniąc się jeszcze mocniej.

—
I... i lubił spędzać dnie za zamkniętymi okiennicami, przy płonących świecach, a wieczorami wychodzić i rozmyślać, spacerując.

—
Tak było... — rozmarzył się syn pani Jaśminy.

—
Nie wiedziałam, że mieszkał w naszej kamienicy. I nigdy bym nie przypuszczała, że wy... to znaczy... co wy tu właściwie robicie, w jego mieszkaniu?

Przyłapani! -

—
Och, rozwiążemy małe zagadki, dla rozrywki — odpowiedział mecenas Janvier.

Pani Walentyna spojrzała na swoje dzieci. - To był wasz pomysł, co?

—
Nie. Prawdę mówiąc, mój — wyznał Ludwik.

—
Bawicie się w detektywów?

—
Żeby korzystać z mieszkania musimy być detektywami, pani Gaillard...

—
Proszę nazywać mnie Walentyną.

...Walentyno.

—

No a co robicie, żeby być detektywami?

—

Jakieś śledztwo, od czasu do czasu...

—

Oczywiście dyskretnie...

—

Na przykład rozpytujemy na targu...

—

Albo w sądzie, w razie potrzeby. Ostatecznie trochę się tam nachodziłem, zanim zmuszono mnie do przejścia na emeryturę.

Wzrok Walentyny znowu spoczął na dzieciach. -A wy o niczym mi nie powiedzieliście...

—

To jest tajny klub, pani... hmm... Walentyno — poprawił się młody antykwariusz.

—

A co powie mój mąż, kiedy o tym usłyszy?

Nastała chwila napiętego milczenia.

—

Niekoniecznie musi o tym usłyszeć - zasugerował w końcu syn pani Jaśminy.

—

Moja żona na przykład o niczym nie wie — wtrącił mecenas Janvier.

—

Poza tym... Nikola i Simon nie robią nic złego.

—
I to z pewnością*jest o wiele zdrowsze niż spędzanie całych popołudni przed komputerem.

Przyłapani! -

—
Och, rozwiązujemy małe zagadki, dla rozrywki — odpowiedział mecenas Janvier.

Pani Walentyna spojrzała na swoje dzieci. — To był wasz pomysł, co?

—
Nie. Prawdę mówiąc, mój — wyznał Ludwik.

—
Bawicie się w detektywów?

—
Żeby korzystać z mieszkania musimy być detektywami, pani Gaillard...

—
Proszę nazywać mnie Walentyną.

—
...Walentyno.

—
No a co robicie, żeby być detektywami?

—
Jakieś śledztwo, od czasu do czasu...

—
Oczywiście dyskretnie...

—
Na przykład rozpytujemy na targu...

—
Albo w sądzie, w razie potrzeby. Ostatecznie trochę się tam nachodziłem, zanim zmuszono mnie do przejścia na emeryturę.

Wzrok Walentyny znowu spoczął na dzieciach. -A wy o niczym mi nie powiedzieliście...

—
To jest tajny klub, pani... hmm... Walentyno — poprawił się młody antykwariusz.

—
A co powie mój mąż, kiedy o tym usłyszy?

Nastąpiła chwila napiętego milczenia.

—
Niekoniecznie musi o tym usłyszeć — zasugerował w końcu syn pani Jaśminy.

—
Moja żona na przykład o niczym nie wie — wtrącił mecenas Janvier.

—
Poza tym... Nikola i Simon nie robią nic złego.

—
I to z pewnością-jest o wiele zdrowsze niż spędzanie całych popołudni przed komputerem.

Przyłapani!

Walentyna Gaillard pokręciła głową w zamyśleniu. - A... na przykład teraz... prowadzicie jakieś dochodzenie?

—
Powiemy, jeżeli przyrzeknie pani nikomu nie wygadać.

-
Nawet mężowi.

—

Zwłaszcza mężowi!

-

I jeśli obieca nam pani pomóc.

-

Właśnie. A wydaje się, że sprawa jest mocno skomplikowana...

Adwokat zwrócił Nikoli czerwony notes, który natychmiast otworzyła na pierwszej stronie.

—

Mamo, słyszałaś może o sensacyjnych spektaklach Maga Offenbacha?

Na słowo „spektakl” Walentyna aż podskoczyła na fotelu, jednak z innego powodu niż wszyscy myśleli. - Och, nie! - zawołała, patrząc na zegarek. - Właśnie sensacyjnie spóźniłam się do teatru!

Już sam widok hotelu Etoile z zewnątrz mówił o tym, z miejscem jakiej klasy ma się do czynienia.

Grube kolumny, błyszczące marmury, eleganccy portierzy, flagi państwowe...

—

Tutaj nie mamy czego szukać — mruknął Wiktor, wymijając główne wejście. — Wejdziemy od tyłu.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział, odkąd spotkał się z Nikolą i Simonem przed bramą kamienicy numer 11 w zaułku Woltera.

Rodzeństwo Gaillard szło posłusznie za listonoszem, który trzymał ręce w kieszeniach, zaciskając pięści. Z tego co mówił syn pani Jaśminy wynikało, że Cormolles nie był zachwycony przyjęciem

Walentyny Gaillard do klubu i protestował, ponieważ nie przeprowadzono głosowania.

—

Jest pan zły, Wiktorze? — zapytała Nikola nieśmiało, gdy zmierzali na tyły hotelu.

Kłopotliwi magicy

—

Trochę.

—
Przykro mi, że mama nas nakryła...

—
Ach, to! Nie jestem zły z powodu waszej mamy. I tak było wiadomo, że prędzej czy później dołą-

Weszli do zaułka zastawionego do połowy kontenerami na śmieci.

—
Generalnie nie ma o czym gadać, dzieciaki. Ale jeśli wasz ojciec się dowie, to ja się zwijam z tego interesu.

Wiktor zapukał do jakiś drzwi. - Xavi! Xavi! To ja, Wiktor!

Nikoła i Simon spojrzeli w górę na ścianę z ciemnych cegieł, na której rury gazowe i wiatraki od klimatyzacji tworzyły prawdziwą mozaikę.

Usłyszeli jakiś rumor, po czym drzwi kuchni uchyliły się. - Hola, amigol - krzyknął ktoś potężnym głosem. - To naprawdę ty! A ninos?

—
Dzieciaki są ze mną.

—
Masz dzieci?

—
To dzieci mojej siostry.

—
Nie wiedziałem, że masz siostrę! — zawołał kucharz, wybuchając śmiechem. — Chodźcie, amigos, wejdźcie do środka!

Kuchnia hotelu Etoile stała przed detektywami otworem.

Znaleźli się w ogromnym pomieszczeniu z mnóstwem różnej wielkości garnków, rondli, patelni,

chochli i noży. Wszystko lśniło czystością, w garnkach ustawionych na palnikach coś bulgotało zaczy...

Rozdział piąty

wzięcie, a kilku pomocników kucharza kroїło w plasterki marchewki i cukinie. Nad wszystkim unosił się charakterystyczny kuchenny zapach - tutaj zdominowany przez gotowane warzywa, pieczone mięso i aromatyczne przyprawy, takie jak curry i zioła prowansalskie.

Wiktor i Xavi wymienili kilka uścisków i klepnięć po ramionach (które listonosz przyjmował z głuchym stęknieniem, gdyż jego baskijski przyjaciel był od niego co najmniej trzykrotnie cięższy). Wyglądali jak dwaj byli żołnierze, którzy spotkali się po wojnie.

Kiedy już ze dwadzieścia razy zapytali się nawzajem, co tam u nich słyszeć, i ponarzekali praktycznie na wszystko, od pogody po politykę, Wiktor umiejętnie skierował rozmowę na to, co obchodziło

detektywów naprawdę.

—

Magik, powiadasz, co?! Amigo! To było coś, czego dotąd nie widziano! Nie żebym ja to widział, ale... hmm... Naprawdę dziwna sprawa, tak mówili policjanci.

—

Kiedy tu byli? — zapytał Simon.

—

Przedwczoraj.

—

A kto? Pamięta pan nazwiska?

Nikola wyciągnęła notes.

—

Taki jeden gadatliwy i trochę loco, szurnięty.

—

Bruno? — podsunął Simon, kojarząc opis z asystentem ojca.

—
Nie pamiętam, jak się nazywał. Ale był muy pedantyczny i muy muy nudny. Zadawał mnóstwo pytań bez sensu.

Kłopotliwi magicy

-

-

Bruno - potwierdziła Nikola.

-

I co mu powiedziałaś? — spytał Wiktor.

-

To co wiem, amigo.

Xavi usadowił się na jednej z kuchennych szafek, która jęknęła pod jego ciężarem, i rozłożył ręce. —

Kiedy to było? Trzy dni temu? St, będzie trzy dni... No więc trzy dni temu odbył się tradycyjny doroczny zjazd magików. Urządzają go zawsze w hotelu Etoile, przynajmniej od kiedy tu pracuję.

Znam ich już wszystkich jak własną kieszeń. Wiecie, w kółko te same zachcianki: Fenomenalny Fox nie cierpi nabrału, Majestic jest uczulony na czosnek... Wszystko szło tak jak zawsze... Nigdy, w żadnym razie nie przyszłoby mi do głowy, że w tym roku wydarzy się coś takiego!

-

Opowiedz po kolei.

-

Cóż... Praktycznie wszyscy magicy spali w Etoile. Oprócz Fenomenalnego Foxa.

-

A gdzie spał Fenomenalny Fox? — spytała Nikola z długopisem nad kartką notesu.

-

Och. On chyba mieszka w Paryżu, niña. Pewnie spał u siebie.

-1 co dalej? - dopytywał się Simon.

-
No, przyjechali cztery dni temu i następnego rana zaczęło się spotkanie. Sala posiedzeń była

cała dla nich: sprawozdania o stanie sztuk magicznych, opinie o tym i o tamtym. — Nim Wiktor zdążył

się odezwać, Xavi dodał: - Naturalnie, policja zabrała już wszystkie materiały i listę wystąpień...

-
Czy to podczas obrad...?

Rozdział piąty

-
Och, nie. Była kolacja. Wszyscy elegancko wystrojeni, łącznie z Offenbachem w tym jego

śmiesznym fraku z długimi połami. Wiecie, taki ma styl. Podaliśmy cztery dania: pasztet z sałatką pomarańczową, kozi ser zapiekany z grzybami, zupę soczewkową z ośmiornicą i atramentem

kałamarnic, pieczoną kaczkę z sosem jagodowym, a na koniec tiramisu...

-
To pięć — przerwał Simon.

-
Co takiego, amigo?

-
Pasztet, ser, zupa, kaczka i tiramisu to w sumie pięć dań.

-
Deser się nie liczy - wyjaśnił mu Xavi. - Czyli właściwie cztery.

-
OK. Cztery. A potem...?

-
Potem kolacja przeciągnęła się, jak zwykle. Wyobraźcie sobie, dwudziestu magików naraz...

Zawsze spodziewamy się, że wywiną jakiś grubszy numer... No wiecie, że kierownik sali będzie lewitował przed podaniem deseru, albo że znikną wszystkie nakrycia. Oni traktują to prawie jak zawody, dowcipnisie...

-

A jak się zachowywał Offenbach?

-

Trochę za dużo wypił. Tak przynajmniej powiedział mi jeden z kelnerów, który go obsługiwał.

Ale nie znam szczegółów, bo rzucił dosłownie jedno zdanie przed wyjściem, strasznie się spieszył—

-

Offenbach? Dokąd tak pędził?

-

Ha, ha, nińa\ Dobre! Kelner, nie Offenbach! Był umówiony z damą i musiał wyjść przed końcem zmiany.

Kłopotliwi magicy

-

—

A wracając do kolacji... - Wiktor był trochę zniecierpliwiony.

—

Sí, sí... Kolacja się skończyła, większość gości poszła spać, a w sali zostało tylko trzech: Majestic, Offenbach i jego wieczny rywal: Fenomenalny Fox.

—

Dlaczego „wieczny rywal”?

—

Ci dwaj nigdy się nie lubili. Offenbach uważa Foxa za gorszego od siebie, a Fox Offenbacha za nadętego bufona. Trwa to już od lat i zazwyczaj inni magicy starają się nie zostawiać ich samych w

jednym miejscu.

—

I dlatego został tam Majestic?

—

Może... Cała trójka gadała sobie o dawnych czasach, bardzo spokojnie, tak mi opowiadano, przynajmniej do północy. Potem Majestic poszedł na górę do swojego pokoju i nie minęła chwila, gdy tamci dwaj zaczęli się kłócić.

—

Co mówili? — dopytywała się Nikola.

—

Zwyczajne rzeczy, niña. „Jesteś skończony”, „naśladowca”, „stary dureń”. Poleciało kilka grubszych epitetów, potem zaczęli się szarpać i Fox upadł na podłogę. Był strasznie zły, rzucił tylko

„Dosyć tego!” i poszedł do domu. Offenbach został sam.

Nikola ledwo nadążała z zapisywaniem wszystkiego-

—

Było już wpół do pierwszej w nocy, kiedy zdarzyło się to paskudne zajście. Offenbach

powiedział kelnerowi, że chce zaczerpnąć świeżego powietrza przed snem. Wyszedł z hotelu i chodził

tam i z po-

Rozdział piąty

wrotem przed wejściem. Tam właśnie dopadł go jakiś szaleniec, coś krzyczał... recepcjonista nie widział ani nie słyszał dokładnie... wiecie, szyby w drzwiach są kolorowe i bardzo grube... Potem nieznajomy chwycił jeden z dwóch wazonów, które stoją przy wejściu, i rozbił go na głowie

Offenbacha. Wazon rozpadł się w drobny mak, Offenbach padł jak rozgotowana gruszka, a wariat

uciekł i w sekundę zniknął bez śla-

—

O kurczę!

—
A co było potem?

—
Ktoś podniósł alarm. My w kuchni kończyliśmy właśnie sprzątać, wybiegliśmy na zewnątrz i znaleźliśmy Offenbacha na chodniku. Myśleliśmy, że nie żyje, ale on jeszcze oddychał... Ktoś wezwał pogotowie... i policję, naturalnie. A teraz od trzech dni mamy na karku tego nudnego gliniarza, który zagnieździł się w hotelu i dręczy wszystkich wchodzących i wychodzących. Płoszy nam klientów. Uciekają jeden po drugim.

—
To był świetny pomysł, żeby wejść od tyłu. — Wiktor kiwnął głową w zamyśleniu. — A policja co mówi? To znaczy, poza dręczeniem klientów...

—Jeśli coś mówi, to z pewnością nie u nas w kuchni, amigo.

—
Ale krążą pewnie jakieś pogłoski, jak za dawnych czasów...

Wielkie łapsko zważyło się na łopatki Wiktora, który omal nie wypłuł migdałków.

du...

Kłopotliwi magicy

—
Nie mów, że chcesz wrócić do zawodu, amigo? Musicie związać mu ręce, dzieciaki, dobrze radzę... Swego czasu wujaszek należał do tych, co nie żartu-

ją!

Nikola i Simon wymienili niedowierzające spojrzenia.

—
Dzieciaki nic... Rozumiesz? — warknął Wiktor, ścisnąwszy rękę Xaviego.

Gigantyczny kucharz udawał Greka: - Jasne, jasne. To był tylko taki żarcik, jak między starymi

kumplami.

—

Wycofałem się, Xavi, OK?

—

Jasne, jasne. Tak czy owak, wiesz, że dla mnie to żaden problem. Jeden z nowych kelnerów dopiero co wyszedł z więzienia. Facet jest w porządku. No, chyba że się zakocha i znika... jak teraz. Wiktor aż zsiniał z wściekłości. - Mówiliśmy o policji. .. — wycedził z naciskiem.

—

A tak, pewnie, amigo. Pewnie. Policja idzie najbardziej logicznym tropem.

—

To znaczy?

—

Kto ma interes w usunięciu najlepszego magika na świecie... tego, którego nazwisko zapełnia widownie i sprzedaje komplety na spektakle?

—

Drugi najlepszy magik na świecie! — zawołał Simon.

—

Właśnie, amigo.

—

Chcesz powiedzieć, że podejrzewają Fenomenalnego Foxa?

—

Nieoficjalnie... ale takie chodzą słuchy.

53

Rozdział piąty

Listonosz skinął głową. - No tak, przecież pokłócili się tamtego wieczoru...

-

O północy — Nikola zajrzała do notesu.

-

A pół godziny później zjawił się wariat, który roztrzaskał mu wazon na głowie — dodał Simon.

-Klasyczna zemsta!

-

Sami widzicie.

-

Fenomenalny Fox... - powtórzyła w zamyśleniu Nikola.

-

Wiesz, gdzie mieszka? - zapytał Wiktor przyjaciela.

-

Mieszka w Paryżu, już ci mówiłem. Ale, ale... - kucharz przyjrzał się całej trójce. - Co mnie tak wypytujecie? Zupełnie jak ten policjant nudziarz, którego nie możemy się pozbyć...

-

Simon jest fanem Offenbacha — wyjaśnił pośpiesznie Wiktor, patrząc znacząco na rodzeństwo Gaillard. - Jak mu powiedziałem, że znam kogoś z hotelu Etoile... nie dawał mi spokoju, dopóki go tu nie przyprowadziłem.

-

O ho ho! Ciekawski dzieciak, co? A wiadomości z gazet nie wystarczą?

-

Wik... to znaczy wujek... zawsze powtarza, żebym nie wierzył w to, co piszą w gazetach - oświadczył Simon przebiegle.

-

Brawo, niño\ Bardzo słusznie! - Xavi aż zatrzęsł się od tubalnego śmiechu. - Jeżeli chcesz coś wiedzieć, sam musisz wetknąć nos gdzie trzeba.

-

A propos nosa, panie Xavi... — spytał Simon, któremu podczas tego kuchennego spotkania otwo-

Kłopotliwi magicy

-

rzyła się otchłań w żołądku. — Mogę spróbować jednego z tych pachnących wanilią ciastek?

i

Następnego dnia po południu rodzeństwo zapukało do drzwi pokoju mamy. Towarzyszył im Leon.

Widząc, jak wchodzą gęsiego z niepewnymi minami, pani Walentyna od razu odgadła, że chcą ją o coś prosić, ale udawała, że nadal pracuje jakby nigdy nic. — Co tam, dzieciaki? — zapytała w końcu, gdy kłopotliwa cisza się przedłużała. Na co odezwali się wszyscy naraz:

-1 co, jak było w teatrze? - zaczął Simon.

-

Napisałaś dobry artykuł? - dorzuciła Nikola.

-

Może przeszkadzamy, pani Gaillard? - spytał Leon.

Walentyna Gaillard obróciła w palcach długopis, którym robiła właśnie korektę tekstu. - A o co konkretnie wam chodzi?

Simon zrobił minę niewiniątka, Nikola pokręciła z przejęciem głową, a zakłopotany Leon spuścił wzrok.

Rozdział szósty

-

Nam?

-
O nic!

-
Myślisz, że przyszedliśmy do ciebie tylko po to, żeby...

-
Tak — ucięła krótko pani Walentyna. — Macie jakąś prośbę związaną z waszą drużyną detektywów -amatorów, zgadłam?

-
Tak... trochę...

-
Ale właściwie to nie jest prośba, tylko...

-
No więc posłuchajmy tej nieprośby — pani Walentyna z westchnieniem odchyliła się na oparcie krzesła.

-
No to...

-
Pomyśleliśmy sobie...

—
I piszesz także do działu kultury...

—
To chcielibyśmy...

—
Może mogłabyś...

—
Albo miałabyś czas...

—
DZIECI!

—
Sprawa jest taka, pani Gaillard — Leon zebrał się w końcu na odwagę. — Kupiłem kiedyś bilet na spektakl Maga Offenbacha... - wyciągnął z kieszeni trochę wymiętoszony, kolorowy kawałek papieru.

—
Tego, który został zabity?

—
Właściwie to prawie zabity... To znaczy, jest w ciężkim stanie. W śpiączce. — Leon schował bilet do kieszeni. - Tak czy owak, występ miał być dziś i dowiedziałem się, że go nie odwołali, tylko Offenbacha zastąpi... Fenomenalny Fox.

— Ze skoro jesteś dziennikarką...

Sensacyjne widowisko -

-
A kto to taki?

-
To największy rywal Offenbacha! — zawołał Simon. - Przy nim Fox to smutna porażka.

-
A ty skąd wiesz? - zainteresowała się Walentyna.

-
Wszyscy to wiedzą - powiedział jej syn, ale zabrzmiało to mało przekonująco, więc zaraz dodał: — I Leon tak mówi.

-
Bo tak to wygląda, proszę pani - poparł go czarnoskóry chłopak. — Poza tym wielu fanom nie podoba się, że Fox zajął miejsce Offenbacha, jakby nic się nie stało... A nawet wygląda, jakby był zadowolony!

-
Takie są brutalne prawa show biznesu, dzieciaki. Tak czy owak, nadal nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

-
Mamo... — odezwała się Nikola. — Podejrzewamy, że Fenomenalny Fox był zamieszany w napaść na Maga Offenbacha.

-
Rozumiesz... największy rywal...

-
Kłócili się przy każdej okazji...

-
Tego wieczoru też...

-
Nawet się szarpali!

-
No a potem Fox wyszedł wściekły...

-
A chwilę później Offenbacha ktoś rąbnął wazonem w głowę!

-1 policja podejrzewa Foxa...

-

Ale jeszcze nie był przesłuchiwany...

-

A Bruno ciągle siedzi w hotelu Etoile i...

Wreszcie dzieciaki musiały zrobić przerwę na wzięcie oddechu. Pani Walentyna obracała chwilę długo-

Rozdział z

pis w palcach, po czym zapytała: — A ja... co miałabym zrobić?

W teatrze panowały zupełne ciemności. Gdy Fenomenalny Fox wyszedł na scenę, spod jego peleryny wyfrunęły białe gołębie i natychmiast rozpierzchły się po całej sali, czemu towarzyszyło stłumione „Aaaaaaach” na widowni.

—

Zastanawiam się, dlaczego stowarzyszenia opieki nad zwierzętami nie prowadzą akcji ratowania gołębi z rąk iluzjonistów — powiedziała pani Walentyna półgłosem.

—

Mamo! — szepnął Simon z wyrzutem.

Ale Nikola uśmiechnęła się. Jeśli coś szczególnego łączyło ją z mamą, to była to właśnie miłość do zwierząt.

Fenomenalny Fox był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, z okrągłą głową i błyszczącymi włosami, i oczywiście ubrany jak prawdziwy magik. Przez następne półtorej godziny niezamordowanie

prezentował swoje najlepsze numery: skrzypce, które zamieniały się w kolorową chustę, talię kart, która znikwała i odnajdywała się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach na sali, kobietę w kufrze, który przebito dwudziestoma siedmioma szpadami, małą Dodo, która znikwała w szafie i zjawiała się w skrzyni po przeciwnej stronie sceny...

Walentyna dyskretnie ziewała. Nikola studiowała uważnie ruchy magika, szukając jakiegoś błędu, który pomógłby jej odkryć trik. Simon i Leon natomiast, wbrew wcześniejszym zapewnieniom o

„smut-

Rozdział szósty

nej porażce", nie odrywali oczu od sceny - pierwszy z otwartymi ustami, drugi z uśmiechem. Wreszcie

— co pani Gaillard przyjęła z niewypowiedzianą ulgą, a dzieciaki z jękiem zawodu - spektakl skończył

się, pożegnany burzą oklasków. Wstając z foteli, wszyscy przekrzykiwali się, wymieniając wrażenia.

—

To było niesamowite!

—

A jak wbijał te szpady w kufer... Ciekawe na czym polega ten trik!

—

Nie wiem, ale do środka bym nie wszedł!

-No!

—

Numer z małpą też był świetny!

—

A widzieliście ten ze skrzypcami? To dopiero było ekstra!

—

Hej, dzieciaki! — zawołała pani Walentyna. — Już do domu?

Rzeczywiście, cała trójka była tak zajęta omawianiem najbardziej zadziwiających trików maga, że automatycznie skierowała się do wyjścia za przepychającą się publicznością.

—

Przypominam, że przyszliśmy nie tylko na spektakl... — pani Gaillard ze znaczącym

uśmiechem pokazała legitymację prasową.

—

Wywiad! - Simon uderzył się w czoło.

Doszli do zamkniętych drzwi prowadzących do garderoby artystów. Po chwili dołączył do nich inny dziennikarz, który na widok pani Gaillard uśmiechnął się szeroko i uścisnął jej rękę.

—
Walentyyno... Jak miło cię widzieć!

—
Maks! Co tu robisz?

Sensacyjne widowisko

—
No przecież! To samo co ty, a cóżby innego! — dziennikarz śmiał się głośno.

—
To twoje brzdące?

—
Tak, Nikola i Simon. No, przywitajcie się... A to Leon, ich najlepszy przyjaciel.

Simon nie miał ochoty witać się z tym facetem, który nazwał go „brzdącem”, ale piorunujące spojrzenie matki przekonało go, że lepiej to zrobić.

—
Maksymilian i ja byliśmy kolegami w magazynie „Esquire” - wyjaśniła Walentyna.

-I razem studiowaliśmy dziennikarstwo — uzupełnił Maks, po czym wskazał na zamknięte drzwi. -

Przyszłaś trochę powęszyc, co?

—
Słucham?

—
Ależ moja droga! Drugi magik wylądował w szpitalu, policja podejrzewa Foxa...

Ach, to... nie! Nie piszę do kroniki kryminalnej.

—

Mając męża komisarza? Czy można znaleźć lepsze źródło?

—

Mój mąż nigdy nie opowiada w domu o pracy — oświadczyła pani Gaillard lodowato. —

Jestem tu w związku z... z ochroną zwierząt.

—

Aha... — Maksymilian uniósł brew.

—

Chodzi o wykorzystywanie gołębi podczas pokazów iluzjonistycznych. Wiesz, były protesty.

—

Absurdalne. Ale... mogę zgadnąć, dla którego magazynu kobiecego masz o tym pisać.

—

Właśnie — zaśmiała się. — Absurdalne, prawda?

Usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi.

—

Najpierw ty? — spytała Walentyna.

Rozdział sty

-

Maksymilian skłonił się lekko. — Ależ w żadnym razie. Dama pierwsza.

—

Miło było cię spotkać, Maks... — powiedziała Walentyna.

—

Zadzwoń kiedyś. Pójdziemy na kawę... jak za starych dobrych czasów!

—
Możesz na mnie liczyć! - zapewniła ze sztucznym ożywieniem Walentyna, po czym pchnęła swe dzieci i Leona w korytarz za drzwiami.

—
Ze też ze wszystkich ludzi na świecie musiałam spotkać właśnie jego! — powiedziała półgłosem, gdy pokonywali krótki odcinek dzielący ich od garderoby magika.

—
Czemu, mammo?

—
Co się stało, proszę pani?

—
Co to był za beznadziejny kolo?

—
Ten „beznadziejny kolo”, jak go nazwałeś, Simon, jest szefem redakcji kroniki kryminalnej w „Le Figaro”!

-Ups...

—
I bardzo ważnym dziennikarzem. A ja wyskoczyłam z jakąś głupią historyjką o gołębiach... Co też mi przyszło do głowy! Teraz Maks pomyśli, że pisuję do najgorszych magazynów we Francji! Ale przynajmniej jest jeden jedyny plus tego, że tu przyszedł...

-Jaki? Jaki?

—Jeżeli pofatygował się osobiście, zamiast przysłać któregoś ze swych ludzi, to znaczy, że w tej sprawie naprawdę coś się kryje...

—
No, a poza tym bardzo się ucieszył na pani widok — dodał Leon.

Rozdział szósty

Maksymilian skłonił się lekko. — Ależ w żadnym razie. Dama pierwsza.

—
Miło było cię spotkać, Maks... — powiedziała Walentyna.

—
Zadzwoń kiedyś. Pójdziemy na kawę... jak za starych dobrych czasów!

—
Możesz na mnie liczyć! — zapewniła ze sztucznym ożywieniem Walentyna, po czym pchnęła swe dzieci i Leona w korytarz za drzwiami.

—
Ze też ze wszystkich ludzi na świecie musiałam spotkać właśnie jego! — powiedziała półgłosem, gdy pokonywali krótki odcinek dzielący ich od garderoby magika.

—
Czemu, mamó?

—
Co się stało, proszę pani?

—
Co to był za beznadziejny kolo?

—
Ten „beznadziejny kolo”, jak go nazwałeś, Simon, jest szefem redakcji kroniki kryminalnej w „Le Figaro”!

-Ups...

—
I bardzo ważnym dziennikarzem. A ja wyskoczyłam z jakąś głupią historyjką o gołębiach... Co

też mi przyszło do głowy! Teraz Maks pomyśli, że pisuję do najgorszych magazynów we Francji! Ale przynajmniej jest jeden jedyny plus tego, że tu przyszedł...

-Jaki? Jaki?

—Jeżeli pofatygował się osobiście, zamiast przysłać któregoś ze swych ludzi, to znaczy, że w tej sprawie naprawdę coś się kryje...

—

No, a poza tym bardzo się ucieszył na pani widok - dodał Leon.

Sensacyjne widowisko

—

Aż za bardzo — wtrącił Simon, który już stał przed zamkniętymi drzwiami z napisem

„FENOMENALNY FOX”. - No, jesteśmy!

—

Wiemy, o co go zapytać? — odezwała się Nikola.

—

Odrobiłam lekcje, dzieciaki... - odparła Walentyna z błyskiem w oku i zapukała.

Drzwi się uchyliły.

Fox właśnie kończył się przebierać — zdążył już wziąć prysznic i włożyć świeżą koszulę.

—

Gaillard? — zapytał.

Do lustra miał przyklejoną kartkę z nazwiskami dwojga dziennikarzy, którzy poprosili go o wywiad.

—

Dobry wieczór, panie Fox. Przyprowadziłam też pańskich młodych wielbicieli.

—

Tylko niech niczego nie ruszają! - odpowiedział mężczyzna nieuprzejmie. - Ma pani pojęcie, ile kosztuje ten specjalistyczny sprzęt?

To zdecydowanie nie był dobry dzień dla Simona. Najpierw jakiś zarozumiały dziennikarz nazwał go brzdącem, a teraz okazało się, że Fenomenalny Fox za kulisami wcale nie jest taki fenomenalny...

Właściwie to okazało się, że jednak jest „smutną porażką”!

—
Zajmę panu tylko parę minut - zaczęła pani Walentyna. — Pański kolega Offen...

Fenomenalny Fox uniósł gwałtownie obie ręce.

—
O nie! Stop! Wygląda na to, że zajmie mi pani jeszcze mniej czasu, niż się spodziewała. Koniec wywiadu.

—
Aaale...? — jeszcze nigdy żaden z rozmówców nie potraktował pani Gaillard tak obcesowo.

£

Rozdział szósty

-
Doskonale rozumiem, do czego pani zmierza i o co chce pytać. Ale ja nie zamierzam odpowiadać na takie pytania.

Magik chciał zamknąć drzwi, ale pani Walentyna zdążyła wsunąć w nie stopę.

-
Panie Fox, proszę wybaczyć, ale...

-
Offenbach to, Offenbach tamto... bardzo mi przykro, że oberwał wazonem po głowie, ale ja mam swoją robotę do wykonania.

-
Proszę poczekać...

-

Przed chwilą skończyłem długi występ, który, mam nadzieję, spodobał się pani - Fenomenalny

Fox

Sensacyjne widowisko -

nie pozwolił sobie przerwać. — Jeśli zechce pani zapytać o moje triki, może pani wrócić jutro wieczór.

A teraz, za pozwoleniem... - wypchnął Walentynę na korytarz i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

—

No nie!!!

—

Cóż za maniery!

Nikola nabazgrała coś szybko w swoim notesie.

—

Co tam piszesz? — zapytał brat.

—

Nic ważnego.

—

I co robimy, dzieciaki?

—Jedyne, co tu można zrobić, to sobie pójść — rzucił zniechęcony Leon.

—

Albo zaczekać na niego na zewnątrz! — mruknął groźnie Simon.

—

Po co?

—

Zeby go śledzić pod sam dom! - dopowiedziała Nikola, która uwielbiała obserwować podejrzanych.

—
Nawet o tym nie myślcie! Jest prawie jedenasta. A jutro idziecie do szkoły!

—
Ale... mammo!

—
Nie ma mowy! Do domu!

Powlekli się smętnie do wyjścia. Przed teatrem nieoczekiwanie zauważyli Maksymiliana — wyglądał, jakby na coś czekał.

—
Hmm... Czy on nie powinien teraz robić wywiadu z tym prostackim magikiem? - w Walentynie obudziła się detektywistyczna czujność. Postanowiła sprawdzić, co się będzie działo i kazała wszystkim przycisnąć się za rogiem. Ledwo zdążyli to zrobić, gdy w oddali zawyła syrena policyjnego radiowozu.

Rozdział szósty

—
Aha, to dlatego jest tu Maks... — mruknęła pani Gaillard. — Dostał cynk.

Ukryci w cieniu detektywi widzieli zbliżające się światła, a gdy samochód się zatrzymał...

—
Tata! - zawołała Nikola. Na szczęście byli na tyle daleko, że nikt przy aucie jej nie usłyszał.

Maksymilian wystrzelił jak z procy i od razu dopadł nadkomisarza.

—
Komisarzu Gaillard! Komisarzu Gaillard! Proszę o komentarz dla „Le Figaro"! Aresztujecie Fenomenalnego Foxa? Jest winny?

—
Żadnych oświadczeń, Maks! — odparł nadkomisarz, odsuwając uprzejmie dziennikarza. — I

żadnego aresztowania, na razie.

—

Ale to on jest głównym podejrzanym?

Komisarz Gaillard poprawił kapelusz na głowie. -

Jest głównym podejrzanym, tak — potwierdził z westchnieniem.

—

Macie jakiś dowód? — nalegał dziennikarz.

W tej chwili napatoczył się Bruno, który właśnie wylazł z samochodu.

—

Policja nie może oczywiście powiedzieć za dużo...

—

zaczął, dumny jak paw, że jest w centrum zainteresowania prasy. — Cały czas badamy poszlaki i wygląda na to, że ten portfel...

—

Jaki portfel? - podchwycił natychmiast Maksymilian, ale komisarz Gaillard, zirytowany tym niepotrzebnym oświadczeniem, zawołał: — Żadnych komentarzy! — i zniknął pośpiesznie w bramie teatru, ciągnąc za sobą swego asystenta.

7.

Burza mózgów

—

Portfel? O jaki portfel może chodzić? - zastanawiał się syn pani Jaśminy w zielonym gabinecie na pierwszym piętrze kamienicy w zaułku Woltera.

—

Udało się wam dowiedzieć czegoś więcej? — zapytał mecenas Janvier, wsuwając oba kciuki

do kieszonek swej kamizelki. Nikola i Simon pokręcili głowami.

Wiktor zacisnął wargi w wąską kreskę.

—
A ja wam mówię, żeby zostawić tę sprawę -mruknął

-Jak to?

—
Policja już się tym zajmuje. Idziemy tym samym tropem. Jeżeli wejdziemy im w drogę, trudno, żeby nas nie przyłapali. A jak się zorientują, że też wędzimy, będzie jeszcze gorzej.

—
A zatem? Co pan proponuje?

-Nic.

Rozdział siódmy

—
Co to znaczy: nic?

—
Nie mamy obowiązku rozwiązywać sprawy Maga Offenbacha — odparł listonosz. — A sądząc po rozwoju sytuacji... powiedziałbym, że przypadek jest raczej prosty.

—
W takim razie co mamy robić zamiast tego?

—
Zawsze zostaje sprawa Pierniczka — przypomniała Nikola, wzbudzając wrzawę niezbyt entuzjastycznych okrzyków.

Syn pani Jaśminy zamachał rękami.

—

Spokojnie! — poprosił. — Chwilę spokoju! Postanowiliśmy wspólnie, że będziemy prowadzić śledztwo w sprawie magika i teraz nie możemy się tak po prostu wycofać.

—
Jest tylko jeden podejrzany — przerwał mu Wiktor zrzędlawie. — I przesłuchuje go już policja.

Gaillard na pewno solidnie go przycisnie... Uwierzcie staremu Wiktorowi, w jutrzejszych gazetach przeczytamy wyznanie winy Foxa.

—
Nie wiemy, czy sprawa rzeczywiście jest taka prosta. Ten tajemniczy portfel, na przykład... — nie ustępował były księżę sali sądowej.

—
Nic tajemniczego! — listonosz uderzył dłonią w stół. — Portfel leżał na podłodze w hotelu Etoile, w kącie holu.

—
Skąd pan wie?

—
Xavi.

-1 co dalej?

—
Portfel należy do Fenomenalnego Foxa, oczywiście. Policjanci zatrzymali go przy wejściu do hotelu

Burza mózgów

-
niedługo po ataku na Offenbacha. Twierdził, że wrócił właśnie po to, żeby poszukać portfela.

—
Mniej więcej o wpół do pierwszej w nocy, prawda? — spytała Nikola z notesem w ręce.

—
Zgadza się.

—
Czas na małą rekonstrukcję wydarzeń — orzekł Ludwik. — Po kolei: magicy jedzą kolację, a potem większość idzie spać, zostają tylko Majestic, Offenbach i Fox. Gdy o północy Majestic idzie do swego pokoju, Offenbach i Fox urządzą awanturę. Fox wychodzi bez portfela. Offenbach zostaje sam.

—
Chwileczkę! — przerwał mu adwokat. — Tak się rzeczy mają pod warunkiem, że Fox mówi prawdę. Ale być może skłamał: mógł tylko udawać, że wychodzi, żeby za chwilę napaść na Offenbacha i dopiero potem pójść do domu.

—
Słusznie. Ten punkt pozostaje do wyjaśnienia... Pewne jest natomiast, że później Fox wrócił do hotelu Etoile, by odzyskać portfel. Ale nie mógł, ponieważ przed hotelem była już karetka i policja.

Zgadza się?

—
Zgadza się.

Gdy zestawiało się ze sobą fakty, jeden po drugim, nic już nie było takie proste. Detektywi z zaułka Wol-tera wymieniali pytające spojrzenia.

—
Ale jakim cudem nic nie wiemy o mordercy? Znaczy, niedoszłym mordercy — Simonowi nie dawało to spokoju.

—
Właśnie! — Leon tarł czoło w zamyśleniu. — Nie wiemy nawet, czy był wysoki, niski, blondyn, brunet, chudy, gruby... Żadnego punktu zaczepienia!

-

Syn pani Jaśminy przeglądał swoje notatki, a Ni-kola kartkowała notes.

—

Na ten temat mamy tylko zeznanie recepcjonisty — odezwała się wreszcie Nikola. — Mówił, że ktoś napadł Offenbacha przed hotelem... Ale przez grube, kolorowe szyby w recepcji nie było za bardzo niczego widać ani słyszeć. Recepcjoniście zdawało się tylko, że napastnik był dobrze zbudowany...

—

To tak jak Fenomenalny Fox! — zawołał od razu Simon, któremu postać magika nieprzyjemnie utkwiała w pamięci.

—

I jak połowa mężczyzn w Paryżu, niestety — dodał Janvier.

—

Offenbach został uderzony w głowę wazonem z alabastru — ciągnęła skrupulatnie Nikola. —

Ten wazon był ustawiony na wysokości metra i siedemdziesięciu pięciu centymetrów nad ziemią i ważył mniej więcej dwadzieścia kilogramów.

—

Teoretycznie podniesienie takiego wazonu nie powinno być problemem dla przeciętnego mężczyzny — powiedział syn pani Jaśminy.

—

Podniesienie to pewnie i nie____Ale oberwanie

nim w czachę, to dopiero musiało boleć! — jęknął Leon, masując się po głowie. - Nie dziwię się, że Offenbach praktycznie nie żyje...

—

No, mag zdrowo oberwał! I zupełnie nie wiadomo od kogo! Szukamy chyba najbardziej anonimowego mordercy w historii morderstw! Po prostu Pan X! - gorączkował się Simon.

—
Anonimowy czy nie, jego opis pasuje do magika

Burza mózgów

Foxa - zauważył sucho Wiktor. - I tym właśnie tropem idzie policja, więc my nie jesteśmy tu do niczego potrzebni. Przecież to jasne jak słońce.

-
Mówi pan? - pani Jaśmina zaczęła grzebać w swej jaskrawej kwiecistej torebce i po chwili pokazała wszystkim wycinek z popularnego kobiecego czasopisma. — Nie wszyscy tak uważają.

-
Co to za grubaska? — zachichotał Simon.

-
Wróżka Otylia... - przeczytała jego siostra.

-
Mamo, zamierzasz polegać na zdaniu wróżki w sprawie kryminalnej? — zdziwił się Ludwik.

-
Przeczytajcie sobie artykuł. Wróżka Otylia jest medium...

-
O Boże, jeszcze tylko medium nam tu brakowało! — jęknął Wiktor, wznosząc oczy ku niebu.

-
W tym artykule Otylia twierdzi, że rozmawiała z duchami i że zdaniem duchów Fenomenalny

Fox nie ma żadnego związku z próbą zabójstwa Maga Offenbacha.

-

Nawiasem mówiąc — przerwał jej syn — być może wkrótce nie będzie to już próba zabójstwa, a prawdziwe zabójstwo. Stan Offenbacha bardzo się pogorszył. Zamykam nawias. Wszyscy — poza Wiktorem, który demonstracyjnie odwrócił się plecami, oraz Janvierem, który uśmiechał się z wyższością — oglądali rumianą twarz wróżki Otylii, która na błyszczącym gazetowym papierze wydawała się jeszcze bardziej rumiana niż w rzeczywistości.

-

Otylia mówi, że to, co się wydarzyło, ma przyczyny w dalekiej przeszłości — wyjaśniła pani Jaśmina.

Rozdział iy

-

— O wiele dalszej niż rywalizacja między dwoma magikami. Wygląda to tak, jakby wróżka chciała wybielić magiczne środowisko, do którego w końcu sama też należy. Oskarżenie Foxa rozpętało burzę w świecie sztukmistrzów, magików i wróżek. Wszyscy tylko o tym mówią... Przecież jeden magik nie może zabić drugiego magika!

—

Czego ja tu muszę wysłuchiwać... — mruknął kwaśno Wiktor.

Pani Jaśmina złożyła wycinek z artykułem i schowała go do torby. — Tak czy owak nie wszyscy się zgadzają, że wina Foxa jest oczywista.

—

Właśnie - zachichotał Janvier. - Duchy się nie zgadzają.

—

Z drugiej strony... Lekceważenie niekonwencjonalnych metod prowadzenia śledztwa niejednego detektywa doprowadziło do porażki — powiedział Ludwik.

—

„Drogi Watsonie, kiedy odrzuci się wszystko, co niemożliwe, to, co pozostanie, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą” — zacytował z pamięci Janvier.

—
Co pan chce przez to powiedzieć?

—
Ze według mnie opinii wróżki możemy pominąć.

—
Popieram — Wiktor podniósł rękę do góry.

—
Ale tak się składa, że... Otylia jest w Paryżu — oznajmiła pani Jaśmina.

-1 co z tego?

—
Może byśmy ją odwiedzili? Tak żeby sprawdzić, co ma do powiedzenia... - podsunęła Nikola.

Burza mózgów

Były księżę sali sądowej uniósł brew i uśmiechnął się tym samym kpiącym uśmieszkiem, który wciąż jeszcze śnił się po nocach wielu paryskim adwokatom.

—
Moje drogie, nie jest bynajmniej moim zamiarem powstrzymać was od wizyty u tej damy

— oświadczył - ale pozwolę sobie ostrzec, że... wróżki mają stawki godne najlepszych prawników w Paryżu!

—
Nie należy gardzić tym, co niewytłumaczalne — zabrał głos syn pani Jaśminy. - A poza tym, mecenasie Janvier, przed chwilą cytował pan Sherlocka Holmesa, prawda? Cóż, pamięta pan sir

Arthura Conan Doyle'a, pisarza, który stworzył Sherlocka Holmesa? On wierzył w istnienie duchów i wróżek. Przypadek braci Davenport przez wiele lat budził sensację w eleganckich salonach. Z jednej strony był Conan Doyle, który utrzymywał, że bracia to autentyczne media, przeciwko niemu zaś jego wielki przyjaciel, iluzjonista Harry Houdini.

—
Ten, który uwalniał się z kajdan zanurzony w wielkim akwarium? — spytała Nikola.

—
Tak, ten! Specjalista od ucieczek! — krzyknął uradowany Simon.

—
Jeszcze jedno cyrkowe dziwadło... — mruknął Wiktor, jak zwykle naburmuszony.

Tym jednak razem nawet mecenas Janvier go nie poparł.

—
Houdiniego nie wolno obrażać, Cormolles. Także dlatego, że... o ile sobie przypominam...

Houdini nie wierzył w żadną magię.

Rozdział siódmy

—
Otóż to — przytaknął syn pani Jaśminy. — Magik starał się racjonalnie wyjaśniać własne

sztuczki. Tymczasem Conan Doyle, który był przecież ojcem logiki detektywistycznej, twierdził, że Houdini posiada silne moce psychiczne... dzięki którym może się zdematerializować, gdy jest zakuty w kajdany, a potem zmaterializować na nowo poza ich zasięgiem!

—
Fascynująca przyjaźń — przyznał adwokat. — Praktycznie nie wierzyli sobie nawzajem. Ale dlaczego zeszliśmy na temat Houdiniego i Conan Doyle'a?

—
Może dlatego, że w sprawie Maga Offenbacha jest jakiś trik, który nam umyka? - podsunął Simon.

Wróżka Otylia

Tego popołudnia pani Jaśmina dokonała rewolucji w swoich zwyczajach. Po obiedzie nie spotkała się jak zwykle z panią Labeche, żeby wymienić się najświeższym plotkami; ba, nie obejrzała nawet programu Gotuj z gwiazdami\ Odbyła za to długie posiedzenie u fryzjera i jeszcze dłuższe przed własną szafą, przygotowując się do spotkania z wróżką niczym generał do bitwy.

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania: doskonale skrojony kostium śliwkowego koloru i nienaganna fryzura czyniły z pani Jaśminy najbardziej eleganckiego detektywa, jakiego znał Paryż!

— Jak to miło, że zechciała nas pani przyjąć! — zawołała pani Jaśmina, wyciągając rękę do wróżki Otylii. — Zwłaszcza, że nie umówiliśmy się z wyprzedzeniem...

Rozdział ósmy

Znajdowali się w restauracji hotelu Napoleon, przy Polach Elizejskich. Był to luksusowy czterogwiazdkowy hotel z zielono-żółtymi sufitami, błyszczącymi od złota i kryształowych żyrandoli.

Dyskretni kelnerzy przemykali się po marmurowych posadzkach — nie byłoby ich w ogóle słychać, gdyby nie lekkie dzwonięcie kieliszków i sztućców. Poza wróżką, panią Jaśminą, Simonem i Nikołą nie było żadnych gości: była szósta po południu, zbyt wcześnie na kolację.

Wróżka Otylia siedziała w foteliku obitym zieloną tkaniną, tak ciasnym, że zdawał się ją ścisnąć niczym gorset. Pewnie to dlatego nie podniosła się, ściskając rękę pani Jaśminy, ale za to obdarzyła zarówno ją, jak i dwójkę młodych ludzi serdecznym powitalnym uśmiechem. Z zaciekawieniem spojrzała na

pudełko, które podała jej Nikola.

—

Zapewne nie wypada przynosić tego rodzaju prezentu do restauracji takiej jak ta —

powiedziała pani Jaśmina, uśmiechając się uroczo — ale myślę, że moje maślane herbatniczki przypadną pani do gustu.

Twarz Otylii rozjaśniła się.

—

Przewidziałam, że na naszym spotkaniu spotka mnie coś dobrego! - zawołała, odkrywając pachnącą zawartość paczuszki.

—

To herbatniki czterogwiazdkowe! — zażartowała Nikola.

Wróżka nie mogła się powstrzymać, żeby natychmiast jednego nie spróbować.

—

Ach, otacza je taka dobra aura! Ale proszę... nie krępujcie się... siadajcie!

Wróżka Otylia

Detektywi-amatorzy usiedli dookoła stolika, przyglądając się wróżce ciekawie. Widziana na żywo, Otylia wyglądała jak szczęśliwa gospodyni domowa, ale w orientalnym stylu: miała na sobie jaskrawą, luźną, obszerną suknię w kwiaty (deseń w stylu kuchennych zasłonek) oraz biały turban zawiązany na czole.

-

No więc, pani Jaśmino... mówiła pani przez telefon, że potrzebuje ze mną porozmawiać...

-

Tak, tak. Chodzi o artykuł, który był w ostatnim numerze „Stylowej Pani Domu”.

-

Ten o Offenbachu? Paskudna sprawa — wróżka pokiwała głową.

-

Właśnie - potwierdziła Nikola.

-1 cóż dalej... ?

-

Pozwoliliśmy sobie do pani zadzwonić, bo...

-

Bo lubimy wszystko, co magiczne! - dopowiedział Simon. - Wiedzieliśmy, że była pani na zjeździe magików w hotelu Etoile, i....

-

A właśnie - przerwała mu siostra. - Dlaczego nie została pani w hotelu Etoile?

-

Och, to całkiem proste — odparła wróżka, poprawiając turban. - Za dużo ludzi: policjanci, dziennikarze, ciekawscy. Wolę spokój. Napijcie się czegoś?

-

Nie, dziękuję.

-Ja też dziękuję...

-

Ja przed chwilą wypilem oranżadę!

Wróżka odwróciła się, by przywołać kelnera i złożyć zamówienie, po czym westchnęła znacząco:

-

Tak to jest na tym świecie... Jeden w ogóle nie pije, inny aż za dużo.

Rozdział ósmy

-

Ma pani kogoś na myśli? — zapytała Nikola.

-

Offenbacha, naturalnie.

-

Dużo pił? — zaciekała się pani Jaśmina.

-

O, tak... A w ostatnich latach było coraz gorzej.

-

Ale... dlaczego?

-

Kto to może wiedzieć? Chyba tylko duchy! - roześmiała się głośno Otylia.

-

A pytała pani duchy o to? - podchwycił natychmiast Simon.

-

To nie takie proste, chłopcze.

-
Czemu?

-
Duchy mówią tylko wtedy, kiedy same mają na to ochotę i jeżeli cię lubią. Właśnie dlatego ten, kto nie wierzy w duchy, nie zdoła nawiązać z nimi kontaktu. Chciałbyś rozmawiać z kimś, kto uważa, że nie masz nic ciekawego do powiedzenia?

-
Pewnie, że nie - Simon pokręcił głową.

-
A ja nie wierzę w duchy, proszę pani - odważyła się wyznać Nikola.

-Jesteś jeszcze młoda... ale poczekaj no...

Wróżka wydobyla z jakiegoś zakamarka swojej sukni srebrne pudełko. Otworzyła je i zaczęła przerzucać dziesiątki wizytówek. - O, masz tutaj. Co na to powiesz?

Podala Nikoli zdjęcie starszego od niej o parę lat chłopaka o czarnych, rozczochranych włosach, w czarnej koszulce w czaszki i w wymiętolonej czarnej kurtce.

-
Przystojny, co? — zachichotała wróżka.

Wróżka Otylia

—
Will Moogley - odczytała Nikola, po czym odwróciła zdjęcie. Na drugiej stronie był numer telefonu.

—
Zadzwoń do niego, kiedy uznasz, że naprawdę chcesz zobaczyć ducha.

Pani Jaśmina pochyliła się do przodu na swym foteliku.

—

W każdym razie, Otylio... bardzo poruszyła nas pani wersja zdarzeń...

—
Wersja duchów, chce pani powiedzieć.

—
Oczywiście... oczywiście. Wersja duchów. Ta historia z przeszłości... Skąd duchy mają pewność, że nie chodzi o zemstę Fenomenalnego Foxa?

—
...odwiecznego rywala? — dopowiedziała Niko-

—
Jeśli wolno mi wyrazić osobistą opinię, i niech to zostanie między nami, wielbicielemi...

Fenomenalny Fox w żadnym razie nie byłby zdolny do czegoś takiego. Nie jest złym człowiekiem, jest tylko bardzo drażliwy i zdecydowanie mało sympatyczny.

-
Zdecydowanie — potwierdził Simon, a widząc zdziwione spojrzenie wróżki, dodał: —

Poznaliśmy

- Fenomenalny Fox ma obsesję, że Offenbach zrujnował mu karierę: niemiecki magik był przecież

zawsze o krok przed nim! Ale faktem jest, że Fox, chociaż z bólem serca, musiał przyznać, jak wszyscy, że Offenbach był, a raczej... jest... najlepszym iluzjonistą na świecie — wróżka Otylia zrobiła pauzę. —

Powiedziałam „jest”, ponieważ wciąż żyje...

la.

go-

Rozdział ósmy

—
Tak, walczy o życie w szpitalu...

Chociaż właściwie powinnam powiedzieć „był”. Ponieważ przy trybie życia, jaki prowadził w ostatnich latach, stracił wiele ze swej sprawności rąk.

—
Znowu ta sama kwestia: dlaczego zaczął pić? — spytała pani Jaśmina.

—
Nieszczęśliwa miłość, droga pani. Taka jest prawda.

—
Nieszczęśliwa miłość? — wykrzyknęły dzieciaki: Nikola z zainteresowaniem, Simon z niesmakiem.

—
Offenbach kochał skrycie swą znakomitą asystentkę, Miss Olgę. Ale... pięć lat temu... Olga porzuciła magię i poślubiła jakiegoś bankiera ze Sztokholmu. Ot tak, z dnia na dzień. Offenbach nigdy się z tym nie pogodził...

—
Rzeczywiście, nie ma teraz asystentki!

—
Tamtego wieczoru, przy kolacji, powtarzał, że Olgi nikt nie może zastąpić.

—
Kto by powiedział... - mruknęła pani Jaśmina. — Wielki magik i magia miłości...

—
A czy zna pani jakąś silniejszą magię? — zażartowała wróżka Otylia.

—
I to bez trików - dopowiedziała pani Jaśmina.

—
Roześmiały się.

Och, co to, to nie! Trików w niej aż za wiele!

Brat i siostra wymienili spojrzenia. Wydawało się,

jakby te dwie kobiety były starymi przyjaciółkami, tak świetnie się rozumiały! Rodzeństwo poczekało Wróżka Otylia

chwilę, aż się nagadają, po czym Nikola spytała: — A według pani... to znaczy, według duchów, po wykreśleniu Fenomenalnego Focha z listy podejrzanych powinniśmy pogrzebać w tej historii z przeszłości... żeby znaleźć ewentualny inny motyw?

Simon zmarszczył brwi ze zdziwieniem i spojrzał na siostrę: — Ze... co? Nic nie rozumiem!

—

No, jeżeli to nie Fox chciał zabić z zawiści... — tłumaczyła Nikola — to może duchy wskazały kogoś innego, z innym motywem?

—

To historia, której korzenie sięgają przeszłości...

-

powtórzyła wróżka tajemniczo. - Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Ale jestem pewna, że nie zrobił tego ani Fox, ani żaden inny magik.

—

To może... bankier ze Sztokholmu? — podsunął Simon.

Wszystkie trzy spojrzały na niego z powątpiewaniem.

—

Wiecie... Olga rzuciła Offenbacha dla bankiera. Mag nie mógł się z tym pogodzić. Może na przykład... kupił pierścionek z wielkim diamentem i dał go Oldze, prosząc, by do niego wróciła.

Bankier to odkrył, wściekł się i dosłownie rozbił mu głowę!

—

Ale dlaczego miałby go zabijać akurat tego wieczoru, gdy odbywało się spotkanie magików?

—
zapytała siostra. — Mógł to zrobić bardziej dyskretnie.

—
Na przykład dlatego, że był wściekły akurat tego wieczoru!

Rozdział ósmy

Otylia zaśmiała się, widząc z jakim zapałem dzieciaki dyskutują o tej sprawie.

—
Tylko nie wciągajcie się za bardzo w tę zabawę w małych detektywów... - powiedziała, jakby zdradzała im jakąś przepowiednię. — Duchy was obserwują, wiecie?

Pani Jaśmina rzuciła rodzeństwu Gaillard porozumiewawcze i rozbawione zarazem spojrzenie.

—
Coś mi się zdaje, że pani duchy nie mają wielkiego wpływu na tę dwójkę, madame Otylio... A czy zna pani nazwisko tego bankiera?

Gdy wyszli z hotelu na Pola Elizejskie, było już ciemno. Latarnie i witryny luksusowych sklepów rozświetlały mrok różnokolorowym światłem, które wydawało się Simonowi jakieś takie niesamowite. Wszyscy szli zamyśleni, jakby nie widząc tłumu turystów i nie słysząc ryku samochodów dookoła. Z rękoma wciśniętymi w kieszenie dotarli do stacji metra w pobliżu Łuku Triumfalnego.

—
W sumie to nie wiem, co powiedzieć - bąknęła Nikola, schodząc w dół.

—
Ja też... — przyznał jej brat. — Ale jakoś dziwnie się czuję po tych wszystkich opowieściach o duchach. Myśli pani, że naprawdę coś w tym jest, pani Jaśmi-no?

Starsza pani szła, nic nie mówiąc. Poznali wprawdzie historię asystentki Olgi i bankiera ze Sztokholmu, ale ona wcale nie czuła z tego powodu satysfakcji.

Rozdział ósmy

Otylia zaśmiała się, widząc z jakim zapalem dzieciaki dyskutują o tej sprawie.

—

Tylko nie wciągajcie się za bardzo w tę zabawę w małych detektywów... — powiedziała, jakby zdradzała im jakąś przepowiednię. — Duchy was obserwują, wiecie?

Pani Jaśmina rzuciła rodzeństwu Gaillard porozumiewawcze i rozbawione zarazem spojrzenie.

—

Coś mi się zdaje, że pani duchy nie mają wielkiego wpływu na tę dwójkę, madame Otylio... A czy zna pani nazwisko tego bankiera?

Gdy wyszli z hotelu na Pola Elizejskie, było już ciemno. Latarnie i witryny luksusowych sklepów rozświetlały mrok różnokolorowym światłem, które wydawało się Simonowi jakieś takie niesamowite. Wszyscy szli zamyśleni, jakby nie widząc tłumu turystów i nie słysząc ryku samochodów dookoła. Z rękoma wciśniętymi w kieszenie dotarli do stacji metra w pobliżu Łuku Triumfalnego.

—

W sumie to nie wiem, co powiedzieć — bąknęła Nikola, schodząc w dół.

—

Ja też... — przyznał jej brat. — Ale jakoś dziwnie się czuję po tych wszystkich opowieściach o duchach. Myśli pani, że naprawdę coś w tym jest, pani Jaśmi-no?

Starsza pani szła, nic nie mówiąc. Poznali wprawdzie historię asystentki Olgi i bankiera ze Sztokholmu, ale ona wcale nie czuła z tego powodu satysfakcji.

Wróżka Otylia

— Sama nie wiem, dzieciaki. Wystarczająco trudno jest radzić sobie z ludźmi z krwi i kości, a co dopiero z duchami...

Simon przełknął ślinę. Nad miastem świecił tajemniczo księżyc.

Gdy Simon i Nikola wrócili do domu, przyjęła ich dziwna cisza.

-

Cześć! Już jesteśmy!

-
Cześć!

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, poszli do kuchni, gdzie zastali mamę stojącą przy garnkach.

Machnięciem drewnianej łyżki dała im znak, że mają być cicho.

-
Co się dzieje?

-
Mam to głęboko gdzieś! - usłyszeli w tej samej chwili głos taty w salonie. — Straciliśmy dwa dni, Bruno!

-
Tata już w domu?! - zdziwił się po cichu Simon.

Pani Walentyna potwierdziła skinieniem głowy i szepnęła: — I jest wściekły!

-
Sprawa magika? — domyśliła się Nikola.

Rozdział dziewiąty

-1-

Słyszeli, jak tata chodzi tam i z powrotem po salonie. Pani Gaillard poleciła im gestem, żeby sobie poszli, a sama, gdy tylko mąż pojawił się w drzwiach kuchni, gorliwie pochyliła się nad kolacją, jak przystało na wspaniałą żonę.

Ernest Gaillard powęszył w powietrzu, nie odrywając ucha od słuchawki telefonu.

—
Co tam gotujesz, kochanie?

—
Zupę rybną po marsylsku! Twoją ulubioną!

Oczy inspektora błysnęły z radości. Wziął drewnianą łyżkę i spróbował zupy.

—
Mmm... wspaniała... — szepnął, a potem wrzasnął w słuchawkę: — Nie mówiłem do pana,

Bruno! W takim razie wracamy na miejsce zbrodni! Niech pan zacznie od początku!

Walentyna na wszelki wypadek dodała jeszcze szczyptę szafranu i odrobinę białego pieprzu, po czym zabrała się do opiekania na złoto grzanek z masłem.

Pół godziny później pani Gaillard podała do stołu.

—
A dzieciaki? — spytał mąż. Miał zmęczoną twarz kogoś, kto przeżył ciężki dzień.

Jak na zawołanie Nikola i Simon zjawili się przy stole.

—
Cześć, tatusiu!

—
Hej, tato!

—
Cześć! Nie słyszałem, kiedy przyszliście.

—
Uczyliście się.

—
No właśnie!

Zagadka portfela

—
Ooo, super! Marsylska zupa rybna! — zawołał Simon, wtykając palec w gęstą zupę.

-
—
Precz z łapami od mojego talerza! - odpędziła go siostra.

Nadinspektor uśmiechnął się. Nic lepiej nie godzi z życiem niż dobra kolacja we własnym domu, w towarzystwie dzieci.

Jedli, rozmawiając o tym i owym, i dopiero gdy komisarz wziął trzecią dolewkę zupy rybnej,

Walentyna uznała, że można już poruszyć temat, który leżał na sercu reszcie rodziny.

—

Bruno znowu coś wykombinował? — zapytała z pozorną obojętnością.

Jeszcze pół godziny wcześniej nadkomisarz Gail-lard byłby zdolny zamordować każdego, kto zadałby mu takie pytanie, ale teraz, z pełnym żołądkiem, odprężony, pokiwał tylko głową ze smutkiem.

—

Można to powiedzieć głośno... Aresztowaliśmy niewinnego człowieka.

—

Fenomenalnego Foxa? — wyrwał się Simon.

-

Tak, jego - potwierdził komisarz, marszcząc lekko brwi. — A ty skąd o tym wiesz?

Walentyna zerwała się na równe nogi i zaczęła zbierać talerze.

-

Trudno byłoby nie wiedzieć, mój drogi. Wykrzykiwałeś jego nazwisko na cały salon!

-

Naprawdę wymówiłem je głośno?

-Jeszcze jak głośno - skłamała Walentyna. W rzeczywistości jej mąż powtarzał w kółko jedynie:

„Katastrofa, Bruno!” i „Skąd to panu przyszło do głowy, Bruno!”.

z na-

—

I co teraz? - przynagliła Nikola.

—

Teraz go wypuścimy. I to natychmiast, dzieją, że nas nie zaskarzy do sądu...

—

On może to zrobić!

—

Teoretycznie nie ma szans. Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu... ale ma naprawdę żelazne alibi.

Komisarz Gaillard westchnął. Reszta rodziny wstrzymała oddech. Zazwyczaj takie westchnienie zapowiadało dwie możliwości: pierwsza była taka, że ukojony atmosferą wieczoru Ernest otworzy się nieco i opowie parę szczegółów ze śledztwa. Druga natomiast, że przygnieciony ciężarem odpowiedzialności związanej z pracą, wstanie od stołu i usiądzie przed telewizorem w poszukiwaniu jakiegoś meczu piłkarskiego.

92

Zagadka portfela

-

Ernest zdjął z kolan serwetkę i odłożył ją na stół: znak, że zamierzał wstać.

Ale Walentyna była na to przygotowana.

—

Co powiecie na mały deser? — zapytała wesoło.

Serwetka błyskawicznie wróciła na swoje miejsce,

a po chwili na środku stołu znalazła się taca pełna ptysiów z bitą śmietaną.

Komisarz zjadł jednego i od razu drugiego.

—

Świetne, gdzie je kupiłaś?

—

U Bernarda.

—
Mmm... śmietana nie za słodka, taka jak lubię. W każdym razie... mówiłem o portfelu Foxa,
nie?

Nie, wcale nie mówił o portfelu, ale zarówno Walentyna, jak i dzieci kiwnęli głowami. Widać było,
że komisarz jest całkowicie zaprzątnięty własnymi myślami.

—
Z powodu tego portfela Bruno sądził, że rozwiązał sprawę. Dwaj magicy pokłócili się, potem
jeden poszedł do domu, tyle że w drodze zmienił zamiar i wrócił do hotelu, żeby rozbić koledze
wazon na głowie. Prymitywne, ale skuteczne. A tymczasem...

Następny ptyś, po którym zapadło długie milczenie.

—
A tymczasem...?

—
Tymczasem właśnie ten portfel to jego alibi. Fox zgubił go zanim wyszedł z hotelu. Wyszedł,
wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do domu. Mieszka na drugim końcu miasta i dojazd zajmuje
mu dobre dwadzieścia minut. Przed domem spostrzegł, że nie ma portfela i poprosił taksówkarza,
żeby odwiózł

Rozdział dziewiąty

-
go z powrotem do hotelu. Gdy wrócił, było już po wszystkim. Wystarczyło przesłuchać taksówkarza,
żeby mieć potwierdzenie jego wersji: Fenomenalny Fox nie miał nic wspólnego z napaścią, a przez
nas trafił na pierwsze strony gazet! I to wszystko przez tego niedołęgę, Bruna! Tylko że to ja firmuję
śledztwo swoim nazwiskiem, nie on! — Ernest przypomniał sobie cały ogrom swojego nieszczęścia.

Wyciągnął rękę po piątego ptysia, ale zrezygnował i w ponurym milczeniu przeniósł się przed
telewizor.

Walentyna, Nikola i Simon wymienili długie spojrzenia. Jeżeli nie Fenomenalny Fox... to kto w takim
razie był sprawcą?

-

Ach, to pani - mruknął Wiktor, zerkając przez uchylone drzwi.

Listonosz o niecałkiem kryształowej przeszłości mieszkał na tym samym piętrze co Gaillardowie.

Mierzył teraz wzrokiem Walentynę i Nikolę, które przed chwilą zapukały do jego mieszkania.

-

Wpuści nas pan do środka, panie Cormolles, czy mam mówić z korytarza? — zapytała

Walentyna.

Drzwi zamknęły się ze skrzypieniem, rozległ się brzęk zdejmowanych z nich łańcuchów, po czym otworzyły się na nowo.

—

Rzadko przyjmuję gości — wyjaśnił krótko gospodarz. — Przepraszam za bałagan.

—

My tylko na minutkę — powiedziała Walentyna, wchodząc wraz z córką. - Dopóki nasi panowie gapią się na tę głupią piłkę...

Zagadka portfela -1-

W przedpokoju mieszkania Wiktora Cormollesa nie było obrazków ani wieszaka. Z jakiegoś schowka

wysypywał się stos butów. W powietrzu wisiał ciężki zapach kapusty, a w tle słychać było muzykę klasyczną.

—

Słucha pan muzyki klasycznej? - spytała Nikola.

—

Nie. Mój pies — odgryzł się złośliwie, ale natychmiast pożałował nieuprzejmej odpowiedzi i

próbował się poprawić. - Nie mam telewizora i lubię odpoczywać, czytając książkę przy włączonym radiu. — Potem zwrócił się do Walentyny: — Chciała pani ze mną pomówić.

Ponieważ nie wyglądało na to, by zamierzał zaprosić je do pokoju, pani Walentyna przystała na rozmowę tuż za progiem. W wielkim skrócie opowiedziała mu wszystko, co wydobyła od męża, aby

on z kolei mógł to zreferować pozostałym członkom klubu.

—
No, no, widzę, że nie potrzebowała pani wiele czasu, żeby wejść w rolę detektywa! —
uśmiechnął się listonosz ironicznie.

—
Powiadomi pan innych?

—
Jasne. Dokończę rozdział i zaraz idę do Ludwika i Jaśminy. Co do Janviera... obawiam się, że
żona go dziś solidnie przycisnęła. Zostawię mu wiadomość w skrzynce na listy.

—
Doskonale - Walentyna wskazała na drzwi za swymi plecami. - W takim razie wracamy do
domu.

Wiktor kiwnął głową.

—
A co pan czyta? - zaciekawiała się Nikola na odchodnym.

Rozdział dziewiąty

-
—
Zbrodnię i karę — odpowiedział. Stał, patrząc za nimi, dopóki nie otworzyły drzwi swojego
mieszkania, i dopiero wtedy dodał: — Ach, byłbym zapomniał...

—
Co takiego?

—
Być może warto zajrzeć jutro do hotelu. Dzwonił Xavi. Ma jakieś wiadomości o pralni i

pewnym fraku...

—

O fraku? — zdziwiła się Walentyna.

—

Właśnie tak. Nic więcej nie wiem. Do jutra.

—

Do jutra, panie Wiktorze.

Jedne i drugie drzwi się zamknęły. Wiktor stał przez chwilę oparty o swoje, a serce biło mu dużo szybciej niż zwykle. Gdy był już pewien, że odeszły na dobre, wrócił do pokoju.

Był tam ktoś jeszcze. Mężczyzna około sześćdziesiątki, biednie ubrany, z długą brodą, siedział przy stole nad talerzem kapuśniaku. Naprzeciwko niego leżała papierowa torebka, z której wysypywały się złote bransoletki i zegarki.

—

Poszły sobie? - zapytał gość.

Wiktor spojrzał z niesmakiem najpierw na niego, a potem na torebkę.

—

Lepiej żebyś ty też już sobie poszedł i zabrał te rzeczy, OK? Ja się już z tego wycofałem.

—

Wiktor, będzie tego ponad dziesięć tysięcy...

—

Nawet nie chcę wiedzieć. Mówię, że się wycofałem. I dobrze mi z tym. Mam porządną pracę,

nie zamierzam wracać do tamtego życia. Bierz to i postaraj się wyjść z kamienicy tak, żeby nikt cię nie widział. Jak ci się nie uda, powiem, że cię nie znam.

Zagadka portfela

-

—

A co mam powiedzieć Xaviemu?

—

Ze jutro do niego wpadniemy. I że chcę wiedzieć,

0

co chodzi w tej historii z frakiem.

Mężczyzna wstał od stołu i wcisnął wszystkie bransoletki do torebki.

—

Przeszedłeś na drugą stronę, Wiktor? Bawisz się w policjanta?

—

Idź już. I niech ci los sprzyja.

Przystanęli jeszcze przed drzwiami. Mężczyzna niespodziewanie i trochę niezdarnie objął Wiktora.

—

Gdybyś zmienił zdanie, wiesz gdzie mnie znaleźć, bracie.

—

Ty też - odpowiedział listonosz z zaułka Woltera

1

serce ścisnęło mu się, przeszyte cienką igłą smutku.

Następnego dnia rodzeństwo Gaiillard zaraz po szkole pobiegło do hotelu Etoile. Detektywistyczne popołudnie zapowiadało się świetnie: Simon przestał myśleć o duchach, a Nikola cieszyła się, że w sprawie Offenbacha mieli nowe punkty zaczepienia. Jedna myśl nie dawała jej jednak spokoju.

Zastanawiała się, czy w ogóle mówić o tym bratu — Simon zachowywał się czasami jak totalny

dzieciak! — ale gdy zbliżali się do imponującej fasady hotelu (omijając główne wejście szerokim łukiem) Nikola zdecydowała, że muszą jednak pogadać. Chodziło o Wiktora.

Listonosz zawsze, od pierwszego zebrania ich klubu detektywów-amatorów, był bardzo

nieprzystępny. Dzieciaki zdążyły się już do tego trochę przyzwyczać. Ale podczas tego dochodzenia Wiktor był o wiele bardziej rozdrażniony niż zwykle. Może przeżywał akurat jakiś kryzys? Trudno było stwierdzić, a jego

Następnego dnia rodzeństwo Gaillard zaraz po szkole pobiegło do hotelu Etoile. Detektywistyczne popołudnie zapowiadało się świetnie: Simon przestał myśleć o duchach, a Nikola cieszyła się, że w sprawie Offenbacha mieli nowe punkty zaczepienia. Jedna myśl nie dawała jej jednak spokoju.

Zastanawiała się, czy w ogóle mówić o tym bratu — Simon zachowywał się czasami jak totalny dzieciak! — ale gdy zbliżali się do imponującej fasady hotelu (omijając główne wejście szerokim łukiem) Nikola zdecydowała, że muszą jednak pogadać. Chodziło o Wiktora.

Listonosz zawsze, od pierwszego zebrania ich klubu detektywów-amatorów, był bardzo nieprzystępny. Dzieciaki zdążyły się już do tego trochę przyzwyczać. Ale podczas tego dochodzenia Wiktor był o wiele bardziej rozdrażniony niż zwykle. Może przeżywał akurat jakiś kryzys? Trudno było stwierdzić, a jego

Rozdział dzieiąty

-1-

skrytość na pewno w tym nie pomagała. Ale wyglądało, jakby kryło się w tym coś więcej: coś, czego nie chciał zdradzić za nic w świecie...

Simon słuchał siostry jednym uchem, rzucając tylko „aha” i „uhm” w najmniej odpowiednich momentach. Wreszcie, gdy spytała go wprost co o tym wszystkim sądzi, mruknął tylko „Eee, wymyślasz!”. Nie było więc sensu dążyć tematu, tym bardziej że byli już w uliczce na tyłach hotelu Etoile.

Nikola sprawdziła w notesie, gdzie umówili się na spotkanie. Okazało się, że tym razem nie w kuchni, ale w małej pralni po drugiej stronie ulicy.

Wiktor był już na miejscu, oparty o drzwi w towarzystwie dwóch osób: kucharza Xaviego, którego poznali poprzednio, oraz jakiegoś chłopaka. Był to Algierczyk, miał na oko ze dwadzieścia lat i żuł kawałek lukrecji. Rodzeństwo patrzyło na niego z ciekawością.

—
Cześć, siostrzeńcy Wiktora! Qué pasa?

—
Hej! — powiedziała Nikola.
—

Jestem Simon, a ty? — wyciągnął rękę do nieznanego chłopaka. - Pat - przedstawił się chłopak, uśmiechając się przy tym do Nikoli.

—
Patryk pracuje w pralni — wyjaśnił Wiktor. — To on opowiedział Xaviemu tę dziwną historię z frakiem.

—
No i jak to było? — Nikola otworzyła swój niezawodny notes.

—
To nic ważnego, w sumie... sam nie wiem, czemu z wami o tym gadam. Policja póki co nic nie wie.

Człowiek z pralni

-
I lepiej, żeby tak zostało - wtrącił Wiktor, co zabrzmiało trochę złowieszczo. Patryk jednak nie wyglądał na kogoś, kogo łatwo zbić z tropu.

-
Eee, jak spytają to pewnie im powiem... Tajemnica to to nie jest ____ No, ale wy macie pierwszeństwo —

uśmiechnął się szeroko. — W każdym razie... To było w tym samym dniu, co ta słynna kolacja. Nasza pralnia pracuje tylko dla hotelu: codziennie chłopak przynosi nam do prania rzeczy klientów, a my je pierzemy, suszymy i prasujemy. A potem dzwoniemy do hotelu, żeby przyszli odebrać. Przyczepiamy

takie niebieskie etykietki... - wyciągnął jedną z kieszeni - z numerami pokoi. A zielone etykietki przypinamy do uniformów i fartuchów dla personelu, które mają trafić do szatni. No i jeszcze jedno...

- Pat zachichotał i zniżył głos. - Jak któryś z chłopaków ma coś własnego do prania, to zazwyczaj dopisuje się to do konta hotelu...

-
Czyli - przerwała mu Nikola - pierzecie w ogóle wszystko, co jest do prania w hotelu Etoile, tak?

-

-

W ogóle i w szczególności, koleżanko. Wszystko. Dawniej mieli własną pralnię, jak inne wielkie hotele. Ale wykalkulowali sobie, że wychodzi taniej dawać wszystko do prania na zewnątrz. Dla nas to lepiej, nie? No, ale nie przerywaj, bo my tu gadu gadu, a ja muszę zdążyć do obiadu - Patryk znowu zachichotał. — Tamtego dnia, gdy był zjazd magików, kosz z praniem przyszedł odebrać nie ten

chłopak co zwykle, tylko jakiś nowy... Daliśmy mu czyste rzeczy, on je zaniósł do hotelu i myśleliśmy, że po sprawie. A tymczasem godzinę później on wraca przerażony i mówi, żeśmy się pomylili! Pokazał

nam stary, wytarty frak z etykietką 112 i mówił, że gdy Mag Offenbach włożył ten frak, zaczął się wydzierać, że to nie jego! „Gdzie mój frak?! Co się stało z moim frakiem?!” — wrzeszczał. Zrobił

nawet awanturę w recepcji! Krótko mówiąc, faktycznie pomyliliśmy fraki. Etykieta z numerem 112, czyli z numerem pokoju Offenbacha, miała być przypięta do nowiutkiego fraka...

-

Który należał do magika...

—

Właśnie. A na tym starym fraku, który mu wysłaliśmy do pokoju, miała być zielona etykieta bez nazwiska. Nie mam pojęcia, jak to się stało!

—

Ale... czyj w takim razie był ten stary frak? — spytał Simon.

—

Etykieta była zielona, więc musiał należeć do kogoś z personelu — wydedukowała Nikola.

-

To dopiero... Hotelowy pracownik paraduje we fraku! — mruknął z przekąsem Wiktor.

Człowiek z pralni

Rodzeństwo Gaiłlard spojrzało po sobie: kim był tajemniczy mężczyzna we fraku, który przewijał się

w śledztwie?

—

Ja wiem, czyj był ten stary frak — oświadczył Xavi. — I to jest właśnie najdziwniejsze! No

więc, są dwa fraki: właściwy i niewłaściwy. Offenbach oddaje do prania ten właściwy, ale potem, przez pomyłkę, zostaje mu zwrócony niewłaściwy. On wpada w furję i odsyła frak. Nieporozumienie zostaje błyskawicznie naprawione i magik może wystąpić we właściwym fraku.

—

Dalej nie kumam.. — niecierpliwił się Simon.

—

To bardzo proste, amigo — odparł spokojnie Xavi. — Magik odzyskuje ubranie i idzie na

kolację, podczas gdy drugi frak, ten stary, zostaje w szatni aż do jedenastej trzydzieści. Po czym... znika.

—

A skąd pan to wie?

—

Ponieważ o jedenastej trzydzieści ktoś go założył i wyszedł z hotelu.

Simon i Nikola wytrzeszczyli na niego oczy.

—

Kto to był?!

—

Jeden z pomocników, których niedawno zatrudniłem. Ten zakochany, pamiętacie?

Wiktor i dzieciaki skinęli głowami. Gdy spotkali się po raz pierwszy, Xavi opowiedział im o pewnym kelnerze, który nie mógł się doczekać końca przyjęcia dla magików, ponieważ śpieszył się na randkę z narzeczoną.

—

Tak właściwie żaden z niego młodzieniaszek... Skończył już pewnie pięćdziesiątkę. Ale...

miłość nie

Rozdział dzieiąty

-1-

wybiera! Prawda, amigos? — zaśmiał się tubalnie, uderzając się rękami po kolanach.

—

Panie Xavi... — odezwała się Nikola. — Ja wciąż nie rozumiem jednej rzeczy.

—

Jakiej, dziecinko?

—

Dlaczego ten... pański pomocnik... nosi frak?

—

Dlatego że, o ile wiem, ma tylko dwa ubrania. I jednym z nich jest właśnie frak.

—

Uhm, jasne — podsumował trochę niepewnie Wiktor.

—

Wszystko super — rzucił Simon — pralnia zamieniła fraki, Offenbach dostał jakiś stary łach zamiast swojej nówki... Szkoda, że nie widziałem wtedy jego miny! Potem wszystko się wyjaśniło...

Ale co z tego, że wiemy, czyj był ten stary frak, skoro dalej nie wiemy, kto rozbił Offenbachowi wazon na głowie?

—

Moglibyśmy go właśnie o to spytać! — podsunęła Nikola. — To znaczy, mężczyznę we fraku!

—

No i właśnie dlatego poprosiłem Wiktora, żeby przyszedł — stwierdził kucharz. — Bo to niemożliwe.

—

Czemu?

—

Bo facet zniknął. Wyparował. Ulotnił się. Nie pokazuje się w pracy od wieczoru, gdy napadnięto na magika.

W umysłach rodzeństwa coś nagle zaskoczyło. Zamiana fraków. Mężczyzna, który zniknął. Niewidzialny napastnik.

To jest właściwy trop!

—

Przecież nie mógł tak całkiem zniknąć, prawda? - zapytała Nikola z nadzieją.

Człowiek z pralni

Pat uśmiechnął się krzywo.

—

Jesteś jeszcze młoda, koleżanko, ale zapewniam cię, że wcale nie tak trudno jest zniknąć.

—

Zwłaszcza, jeśli zabiło się magika — dodał Simon po cichu.

—

Mówicie...?

—

Mogło tak być... — odparła Nikola wymijająco. Chciała uporządkować informacje, zanim wymyśli konkretną teorię. — Co o nim wiemy?

—

W sumie niewiele. Nigdy nie pytaliśmy, gdzie mieszka — przyznał kucharz. — Chociaż wydaje mi się, że wspominał coś o mieszkaniu, które znalazł na północnym przedmieściu.

—

Klasyczna igła w stogu siana — mruknął Wiktor.

—
Jak wygląda?

—
Biały, około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, niegruby, niechudy... Ma krótkie włosy. Bardzo krótkie. Jak u wszystkich, którzy dopiero wyszli z więzienia.

—
Był w więzieniu?!

—
Piętnaście lat... Podobno był niewinny, miał nieuczciwy proces. Tak mi powiedział, dużo więcej nie pytałem.

—
Taa, w więzieniach siedzą sami niewinni! — zauważył Patryk z przekąsem.

Słyszac te słowa, Wiktor zeszywniał.

—
Jak się nazywa?

—
Esteban.

—
Esteban i co dalej?

Rozdział dziesiąty

—
Esteban Gallego.

Nikola i Simon popatrzyli na siebie, po czym zawołali: — To nasz człowiek! Musimy go znaleźć!

Xavi i Pat roześmiali się.

—
Bystre dzieciaki, niós. A jak myślicie to zrobić? - chciał wiedzieć kucharz.

—
Jak to jak? Zapytamy księcia sali sądowej! - odparł Simon z dumą.

Wiktor kiwnął głową.

—
Mecenasa Janviera — wyjaśnił.

—
Tak, wycieczka do archiwów sądowych... Ale będzie zadowolony! — uśmiechnęła się Nikola.

11.

Cienie z przeszłości

Mecenas Janvier starannie wygładził kamizelkę z miękkiego szarego jedwabiu i poprawiał muszkę tak długo, aż ustawiła się pod idealnym kątem. Następnie obrzucił zadowolonym spojrzeniem swoją sylwetkę w lustrze, pusząc się przy tym jak paw.

„To właśnie ten garnitur miałem na sobie, gdy wygrałem sprawę Gerlantona!” — mruknął pod nosem. Prawda to czy nie, adwokat był w pełni usatysfakcjonowany swoim wyglądem. W końcu kto na jego widok powiedziałby, że wielki Janvier, Biały Gołąb paryskich sądów, jest już na emeryturze?

„Emerytura! — pomyślał adwokat. — Do diabła z emeryturą... Utarłbym jeszcze nosa tym wszystkim dzisiejszym adwokacikom z ich komputerami i komórkami...”.

Jego rozważania przerwał nieco piskliwy głos dobiegający z sąsiedniego pokoju. Głos pani Janvier.

Rozdział ety

-

—
Ferdziu?

Pan Ferdynand westchnął cicho. Nie cierpiał, gdy żona zdrabniała w ten sposób jego imię.

—

Tak, moja droga... ?

—

Co ty tam robisz? Chodź już, w telewizji zaraz zacznie się twój ulubiony „Komisarz Frunk”!

—

Och, „Komisarz Frunk”! Ehm, to świetnie...

Trzeba było działać, i to szybko! Na szczęście mecenas miał już przygotowany plan awaryjny, a nawet rekwizyty: przynajmniej raz znieawidzone kapcie, które żona kazała mu wkładać w domu, miały się do czegoś przydać. Sunąc na miękkich filcowych podszwach, były księżę sali sądowej prześliznął się cicho do kuchni, gdzie nalał szybko wody do szklanki.

Następnie upewnił się, że żona dalej gapi się w telewizor, i znowu śmignął chyłkiem przez przedpokój, tym razem do składziku obok drzwi wejściowych. Otworzył go, zaświecił światło i obejrzał pośpiesznie wszystkie kąty przy suficie. Wybrał ten, który najbardziej rzucał się w oczy, rozejrzał się raz jeszcze na boki, po czym błyskawicznie chlusnął w ten kąt wodą ze szklanki. Na jasnoniebieskiej farbie, którą pomalowano ściany składziku, wykwitła natychmiast ciemna plama. Biały Gołąb ukrył szklankę za

skrzynką z narzędziami i przystąpił do odgrywania swej roli.

—

Och, dalibóg! — krzyknął, odchrząknawszy.

—

Ferdziuu? Co się stało?

—

A niech to, moja droga! Prawdziwa katastrofa...

—

Jaka katastrofa, na miłość boską?

Cienie z przeszłości

—

Paskudna plama wilgoci... Naprawdę paskudna.

Pani Janvier w okamgnieniu znalazła się w składziku.

—
To dziwne! — zawołała. — Godzinę temu, kiedy brałam miotłę, nie było żadnej plamy!

—
Czyli jest świeża! Bardzo niedobrze...

—
Co chcesz przez to powiedzieć?

—
Przecież to jasne jak słońce! — zawołał adwokat dramatycznie. - Pewnie rura gdzieś przecieka! Założę się, że na poddaszu... Leon i te jego pomysły, żeby wszystko reperować samemu!

—
Przecieka? Ale nie wygląda mi to na aż tak wielką plamę...

—
Moja droga! Zawsze zaczyna się od małej, a potem trzeba odnawiać całe ściany! Nie ma chwili do stracenia... Muszę iść do Leona i powiedzieć mu, żeby natychmiast naprawił awarię!

—
Ależ, Ferdynandzie... zaraz przyjdzie na herbatę moja siostra Wirginia!

—
Na twarzy byłego księcia sali sądowej odmalował się nieokreślony grymas.

—
Aaaach... Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawiłoby mi spędzenie z nią paru chwil, ale niestety... — wskazał na mokrą plamę w składziku. — Zanim zaleje nam całe mieszkanie, muszę się rozmówić z tym mądrąłą Leonem!

—
A to co takiego? — zapytała żona, wskazując gruby zwój niedbale złożonych papierów, który

mąż trzymał pod pachą.

Rozdział esty

-

—
Hmm... To regulaminy dla lokatorów! Na wypadek, gdyby Leon chciał zgrywać spryciarza!

Nie czekając, aż sytuacja przybierze zły obrót, mecenas ruszył do drzwi.

—
No dobrze, moja droga! Ja idę do Kaborè'a... I przeproś ode mnie siostrę... Ale, jak widzisz, okoliczności...

Nim zdążył dokończyć zdanie i nim pani Janvier zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, drzwi się zamknęły.

Niecałe dziesięć sekund później w całym mieszkaniu rozbrzmiała hałaśliwa czołówka serialu „Komisarz Frunk”.

Po wyjściu z domu adwokat odetchnął z ulgą. Wszedł szybko do starej windy, pięknie wykończonej drewnem i polerowanym mosiądzem, i zjechał nią do podziemia. Tutaj pewnym krokiem skierował się do drzwi piwnicy pani Jaśminy i Ludwika. Na szczęście ktoś z detektywów-amatorów zostawił je uchylone. Janvier wszedł, zamknął drzwi za sobą i dla bezpieczeństwa przekręcił klucz w zamku.

Następnie otworzył sekretne przejście, które znajdowało się za regałem z przetworami pani Jaśminy, i zanurzył się w ciemność. Wspiął się po kręconych schodach aż do pogrążonego w półmroku korytarza, który pokonał kilkoma susami. Wreszcie, niezwykle dziarsko jak na swój wiek, prześliznął się przez fałszywy kominek, który był tajnym wejściem do zielonego gabinetu.

Wszyscy członkowie klubu z zaułka Woltera, łącznie z nowo przyjętą Walentyną Gaillard, byli już na miejscu i czekali tylko na niego, siedząc wokół wiel-Rozdział jedenasty

—
Hmm... To regulaminy dla lokatorów! Na wypadek, gdyby Leon chciał zgrywać spryciarza!

Nie czekając, aż sytuacja przybierze zły obrót, mecenas ruszył do drzwi.

-
No dobrze, moja droga! Ja idę do Kaborè'a... I przeproszę ode mnie siostrę... Ale, jak widzisz, okoliczności. ..

Nim zdążył dokończyć zdanie i nim pani Janvier zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, drzwi się zamknęły.

Niecałe dziesięć sekund później w całym mieszkaniu rozbrzmiała hałaśliwa czołówka serialu „Komisarz Frunk”.

Po wyjściu z domu adwokat odetchnął z ulgą. Wszedł szybko do starej windy, pięknie wykończonej drewnem i polerowanym mosiądzem, i zjechał nią do podziemia. Tutaj pewnym krokiem skierował się do drzwi piwnicy pani Jaśminy i Ludwika. Na szczęście ktoś z detektywów-amatorów zostawił je uchylone. Janvier wszedł, zamknął drzwi za sobą i dla bezpieczeństwa przekręcił klucz w zamku.

Następnie otworzył sekretne przejście, które znajdowało się za regałem z przetworami pani Jaśminy, i zanurzył się w ciemność. Wspinał się po kręconych schodach aż do pograżonego w półmroku korytarza, który pokonał kilkoma susami. Wreszcie, niezwykle dziarsko jak na swój wiek, prześliznął się przez fałszywy kominek, który był tajnym wejściem do zielonego gabinetu.

Wszyscy członkowie klubu z zaułka Woltera, łącznie z nowo przyjetą Walentyną Gaillard, byli już na miejscu i czekali tylko na niego, siedząc wokół wiel-Cienie z przeszłości

-
kiego stołu na środku pokoju. Na jego widok wzniesli entuzjastyczne okrzyki powitania. Dostojny książę sali sądowej odwzajemnił pozdrowienie i położył papiery na stole.

Wszyscy od razu się domyślili, że poszukiwania Janviera musiały być szczególnie owocne. W pokoju zapadła pełna oczekiwania cisza. Adwokat stanął tak, aby być dobrze widocznym dla każdego, nabrał głęboko powietrza, spojrzał w górę i teatralnie założył ręce do tyłu.

Detektywi pomyśleli, że koncentruje się przed przystąpieniem do jednej ze swych niezapomnianych mów, i cisza stała się jeszcze większa. Ale mylili się. Były książę sali sądowej znowu wciągnął powietrze, po czym przeszył wszystkich spojrzeniem, zatrzymując się na pani Jaśminie.

-
Tarta z jagodami! - wykrzyknął triumfalnie, wskazując talerz przykryty białą haftowaną

serwetką.

-

Zgadza się, mecenasie! Gratuluję - odparła z uśmiechem pani Jaśmina. — Ze świeżymi jagodami! Mam nadzieję, że nowiny, które pan przynosi, są równie świeże...

Oblicze starego adwokata rozpromienił szeroki uśmiech satysfakcji.

-

Nie inaczej, droga pani... — powiedział i zaczął krążyć wokół wielkiego stołu. - Miałem wprost niesłychane szczęście, panie i panowie! - zaczął z intonacją godną wielkiego aktora.

-

Został pan Adwokatem Roku? — zażartował Leon.

Rozdział esty

-

—
Lepiej, chłopcze, znacznie lepiej! Okazało się, że Esteban Gallego, nasz tajemniczy mężczyzna we fraku, był stałym klientem sądów i adwokatów. A jak wszyscy wiecie, sądy i kancelarie adwokackie są moim królestwem.

—

Były pańskim królestwem - zauważył cierpko Wiktor.

Ale Biały Gołąb nie zwrócił na to uwagi, galopując już na koniu swojej doskonałej wymowności.

—

Bezspornym faktem jest, że jakieś piętnaście lat temu Gallego był zaplątany w długi i trudny proces. Fortuna sprawiła, że bronił go mecenas Mejer, mój bliski przyjaciel, który nie miał nic przeciwko temu, żeby mi udostępnić całą dokumentację, jaką na temat tej sprawy posiada w swym archiwum...

—

Ten pański przyjaciel chyba się za bardzo nie postarał - wtrącił Simon. - Kucharz z Etoile

mówił, że Estebana dopiero co wypuścili z kicia!

Słyszając tak zuchwałą uwagę syna, Walentyna rzuciła mu piorunujące spojrzenie, ale były książe sali sądowej był niewzruszony.

—

Mejer wykonał świetną robotę! Gallegę pogrążył jednak naoczny świadek, nie dając mu nawet cienia szansy na wywinięcie się od kary. Dostał piętnaście lat za napad na sklep jubilerski Hormois.

—

Ależ oczywiście, napad przy placu Vendôme! -krzyknęła pani Jaśmina, klasnąwszy w dłonie. —

Pamiętam, pisały o tym wszystkie gazety! Nie była w to przypadkiem zamieszana jakaś dziewczynka?

—

Gratuluję pamięci, pani Jaśmino — powiedział

Cienie z przeszłości

Janvier, rewanżując się za wcześniejszy komplement. - Ale po kolei. Ludwiku, byłby pan uprzejmy odczytać pierwszy punkt z listy, którą panu wręczyłem?

-

Z przyjemnością, mecenasie - odparł antykwa-riusz i odchrząknął. - „Płyn do mycia naczyń”...

Na twarzy adwokata odmalowało się zakłopotanie.

-

Dalibóg! Pomyliłem listy... — Janvier zanurkował w morzu swych szpargałów i zaczął je gorączkowo przerzucać. Po kilku chwilach wyłowił z papierowego chaosu karteczkę bardzo podobną do tej, którą trzymał w ręce syn pani Jaśminy. — Proszę zacząć jeszcze raz — powiedział z godnością.

-

„Punkt pierwszy - przeczytał Ludwik. - Esteban Gallego był mimem”.

Wbrew oczekiwaniom mecenasa, ta informacja nie spotkała się z nazbyt gorącym przyjęciem.

-

Panie mecenasie, nie zamierza pan chyba opowiadać nam całego życiorysu tego osobnika? - spytała Walentyna, myśląc o zakupach, które miała jeszcze do zrobienia.

—

Nie, pani Gaillard — uśmiechnął się czarująco Janvier — wyłącznie informacje przydatne dla śledztwa.

—

A wiadomość, że był błaznem, do czego nam się przyda, łaskawy panie? - mruknął niezadowolony Wiktor.

—

Mimem, Cormolles, mimem... Odpowiedź jest bardzo prosta: to nam wyjaśnia kwestię fraka.

—

Który był pewnie jego... ? — zawahała się w ostatniej chwili Nikola.

Rozdział esty

-

—

Oczywiście, moja droga. Który był jego kostiumem. Gałęgo nosił go na scenie, jeśli dostawał pracę w jakimś teatrzyku, oraz na ulicach, gdy występował przed turystami.

—

Jasne! — pokiwał głową Leon. — Oddali mu frak, gdy wychodził z więzienia, a że facet był pewnie bez kasy, to zaczął go nosić jak zwykłe ubranie.

—

To ma sens — Nikola zapisywała wszystko w notesie.

—
Proszę kontynuować, Ludwiku... — powiedział adwokat Janvier, powracając do głównego wątku.

—
„Punkt drugi. Esteban Gallego został skazany na piętnaście lat więzienia, chociaż zawsze twierdził, że jest niewinny”.

—
Eee, w więzieniu wszyscy twierdzą, że są niewinni! — wyrwał się Simon, który zapamiętał sobie słowa Patryka.

—
To prawda. Ale przypadek Gallegi był szczególny. Cała konstrukcja oskarżenia opierała się na jednym tylko zeznaniu, złożonym przez Izabelę Granger — trzynastoletnią dziewczynkę, o której wspomniała nam tu wcześniej pani Jaśmina. Iza podczas napadu znajdowała się przed sklepem jubilerskim, gdyż stała w kolejce do stojącej nieopodal budki z lodami. Napastnik zgubił w szarpaninie kominiarkę i uciekając, przebiegł obok dziewczynki, która widziała jego twarz. Gallego został

zatrzymany przez policjantów niedaleko od sklepu jubilera, w zakątku jakiegoś ogródka, a jego zachowanie wzbudziło podejrzenia. Twierdził co prawda, że przygotowywał się właśnie

Cienie z przeszłości

-
do ulicznego występu, ale nie uwierzyli mu i stał się jednym z podejrzanych. Gdy panna Granger zobaczyła jego zdjęcie, najpierw się zawahała, ale potem rozpoznała w nim rabusia, który przebiegł obok niej. Wiele dyskutowano o wiarygodności tego młodego świadka...

—
Jasne, jakby poniżej osiemnastki każdy był z definicji niewiarygodny! - skomentowała nieco

urazona Nikola.

Janvier ominął zręcznie ten drażliwy punkt.

-

W każdym razie Gallego upierał się, że jest niewinny, i jego pewność siebie przekonała wiele osób.

Rozdział esty

-

Opinia publiczna jak zwykle podzieliła się na zwolenników i przeciwników oskarżonego. W końcu sędzia uwierzył pannie Granger i skazał mima. Było jeszcze trochę hałasu w gazetach, a potem wszyscy o nim zapomnieli, zajęci nowymi aferami...

—

The show must go on} l - skomentował sarkastycznie Wiktor, rzucając wymowne spojrzenie na Walentyne Gaillard, która była z zawodu dziennikarką.

Mama Simona i Nikoli, dotknięta do żywego, lekko poczerwieniała.

—

Cormolles, niech pan przestanie błaznować i pozwól nam skupić się na sprawie! — zagrział syn pani Jaśminy z porywcznością, o którą nikt by go nie podejrzewał.

Janvier dał mu lekki znak ręką, zachęcając do kontynuowania lektury.

—

„Punkt trzeci. Esteban Gallego zniknął, ale jego ucieczka nie potrwa długo”.

—

A skąd może pan to wiedzieć? — zdziwiła się Walentyna.

—

Nietrudno przewidzieć. Po piętnastu latach w więzieniu człowiek zostaje na lodzie. Gallego

nie będzie miał punktów oparcia i bardzo szybko skończą mu się pieniądze. A wtedy dalsze ukrywanie się będzie niemożliwe.

—
Poza tym policja na pewno już wie o jego zniknięciu - potwierdził Wiktor. - Mają sporo jego zdjęć, rozesłali je do wszystkich komisariatów... Nie chciał-

3 ang. „przedstawienie musi trwać” (tytuł piosenki zespołu Queen)

Cienie z przeszłości

-

bym być na miejscu tego faceta!

To były już wszystkie punkty na liście adwokata Janviera.

-

Powinien być jeszcze punkt czwarty - powiedział żartobliwie Leon. — „Biały Gołąb paryskich sądów odpowiada na pytanie: co dalej?”.

-

Nie uchylę się od odpowiedzi - odparł uprzejmie mecenas. — Mam dwie propozycje.

—

Dawaj, Ferdynandzie! — zachęcił go Simon, ściągając na siebie drugie piorunujące spojrzenie matki.

—

Po pierwsze, jutro zabierzemy się do szukania ewentualnych wiadomości o panu Gallego.

Każdy we własnym środowisku: ja wśród moich kolegów adwokatów, pani Jaśmina na targu, Wiktor w kręgach swych dawnych znajomych, pani Gaillard wśród dziennikarzy z kroniki kryminalnej...

—

A ja tradycyjnie poszukam w Internecie — dokończył Leon.

—

Doskonale! — Janvier był zadowolony. — Wszyscy się zgadzają?

Jedni z pełnym przekonaniem, inni z wahaniem, ale ostatecznie zgodzili się wszyscy.

-

A druga propozycja? - spytała Nikola.

-

Ta jest o wiele krótsza i przyjemniejsza: tarta z jagodami!

W pokoju rodzeństwa Gaillard panowała dość przybita atmosfera. Nagle rozległy się głośnie fanfary.

Nikola skrzywiła się z niesmakiem — nie cierpiała tego dzwonka, który jej brat ustawił sobie jako sygnał SMS-a. Simon uniósł głowę znad szkolnego zadania, postukał palcem po ekranie i osunął się niczym zemdlony na gęsto pokryte liczbami kartki.

Siostra spojrzała na niego z dezaprobatą.

—

To pewnie ten twój głupekowaty kumpel Cedryk? Jak znam życie on też nie daje rady z matmy... A to takie banalnie proste równania!

-

Taa, jasne. Sama jesteś banalna - odparł niegrzecznie Simon i zanim siostra zdążyła zagotować się ze złości, dodał: — To był SMS od Leona.

-

O nie! Tylko mi nie mów, że...

—

A właśnie że tak! — zawołał zniechęcony chłopak. — Jesteśmy w czarnej dziurze! Leon i ten jego znajomy

Rozdział nasty

-

haker, Neo, nic nie znaleźli w Internecie o Estebanie Galledze! W każdym razie nic, czego byśmy już nie wiedzieli wcześniej.

Nikola westchnęła i oparła twarz na rękach z posepną miną. - Nienawidzę tkwić w martwym punkcie!

Było to jedno z ulubionych powiedzonek wielkiego Kinga Ellertona.

-

Kłapa totalna, szkoda gadać - marudził zrozpaczony Simon, kładąc się z powrotem na zeszyte.

Nikola znowu westchnęła i wyjęła z szuflady swój czerwony notes, który otworzyła na stronach z najnowszymi notatkami.

—

W dobrym śledztwie nigdy nie za mało podsumowań! — to także była mądrość z repertuaru powieściowego detektywa. — Sprawdźmy jeszcze raz... Pani Jaśmina, którą spotkałam na schodach, mówiła, że na targu nic się nie da dowiedzieć, bo wszyscy gadają teraz o innej sprawie: jakiś urzędnik z banku w centrum miasta zwiął z kasą... i z żoną swojego dyrektora!

Simon nawet nie podniósł głowy. - A Wiktor?

Nikola przewróciła kartkę.

—

Wiktor zostawił Ludwikowi wiadomość, że odkrył miejsce na północnym przedmieściu, gdzie Este-ban mieszkał po wyjściu z więzienia. Ale od pewnego czasu nikt go tam nie widział.

-

Czyli ślepy zaułek, jak zwykle. Ale może chociaż mecenas coś odkrył wśród tych swoich przyjaciół, nieprzyjaciół i prawie przyjaciół, których ma wszędzie...

nie zawsze jest tak, jakbyśmy chcieli... -

Dziewczyna przewróciła następną kartkę notesu.

-

Niestety, nic z tego. Nasz książkę sali sądowej dzwonił godzinę temu, jak byłeś na treningu. Nie znalazł żadnych nowych informacji.

—
To znaczy...

—
To znaczy, że w sumie naszą ostatnią nadzieją jest...

—
...mama! — powiedzieli oboje jednocześnie... i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki

Walentyna Gaillard zmaterializowała się w drzwiach pokoju!

—
Szkoda, że to zaklęcie nie działa też w drugą stronę - zachichotała Nikola po cichu.

-
Podśluchiwałaś? - zasugerował zdziwiony Simon.

—
Przestańcie gadać głupoty — pani Walentyna chciała być surowa, ale nie mogąc już dłużej się powstrzymać, zawołała z triumfem: — Mam wielkie nowiny!

-
Ha! Wiedziałem! - Simon podskoczył z radości.

—
Mama to najlepszy detektyw na świecie!

-
Pochlebstwo nie uchroni cię od posprzątania tego pokoju — odpowiedziała matka, ukrywając uśmiech.

-
Poza tym akurat tego, co się dowiedziałam, raczej się nie spodziewacie...

-

No to mów, szybko!! - prosiła Nikola, składając ręce.

-

Złapali go!

-

Kogo?

—

Estebana?!

—

Tak! Przed chwilą rozmawiałam z tatą przez te-

4*

Rozdział dwunasty

łefon. Jest w siódmym niebie, oczywiście. Mówił, że właściciel jakiegoś pensjonatu zgłosił nieuregulowany rachunek. Klient uciekł przed zapłaceniem, ale w okolicy był patrol, który zaraz go namierzył. No i okazało się, że to Esteban Gallego.

-

Tak jak przewidział Janvier — zauważyła Nikola. — Estebana szybko przyskrzynili!

-

No i co z tego, że Ferdek to przewidział! — stęknął Simon. — Przecież oni ukradli nam śledztwo!

-

Chcę ci przypomnieć, że „oni” to jest policja, i tak się składa, że również twój tata do niej należy. Więc mógłbyś się choć trochę ucieszyć, przynajmniej ze względu na niego...

-

Niiiiby tak, mamó, ale...

-

Masz absolutną rację, mamó! Bardzo się cieszy-

'■i>a>i •r«»i«J!

>r ■■■■ rr •■■■

...-----

rriaaa. 111

'■■■(fon • rwrrwmmtą rr* ■■■■«■> *rr sn

1 I »»rrr ■■■■ ■ •

tUUUII'

nie zawsze jest tak, jakbyśmy chcieli... -

my ze względu na tatę - wtrąciła się z niespodziewaną gorliwością Nikola.

— Hmm, cieszę się, że się cieszyacie... W takim razie idę pod prysznic — powiedziała mama,

wychodząc z pokoju. Kątem oka zdążyła jednak zauważyć dziwny błysk w spojrzeniu córki. Jeśli dobrze znała Niko-lę — a znała — to mogło znaczyć tylko jedno: Nikola wpadła na jakiś podejrzany pomysł!

13.

Aperitif z dawnych czasów

—

„Och tak, mamusiu! Bardzo się cieszymy ze względu na tatusia!" — Simon przedrzeźniał

siostrę złośliwie. — Zawsze ta sama lizuska!

—

A ty zawsze taki sam dzieciak! Tak trudno zrozumieć, że chciałam się pozbyć mamy?

—

Pozbyć się? A po co? Tak ci się spieszy do fotosyntezy? Bo mi do równań wcale...

—

Nie bądź głupi! - Nikola rzuciła szybkie spojrzenie na budzik stojący na nocnej szafce. —

Możemy jeszcze dzisiaj uratować nasze śledztwo, ale musimy się śpieszyć!

—

Ale co niby można zrobić? Gallego jest już za kratkami!

—

Jak śledztwo tkwi w ślepym zaułku, to co robi wielki detektyw?

—

Idzie na wielkie ciastka z kremem?

—

O Boże... Czasem zastanawiam się, czy ty te

125

Rozdział trzynasty

-

książki o Kingu Ellertonie naprawdę czytasz, czy tylko udajesz? Wielki detektyw... idzie na całość!

-

Idzie na całość?

-

Tak! Wykonuje niespodziewany ruch, mąci wodę, szuka nowego tropu...

-

No dobra Nikola, mów po ludzku o co ci chodzi.

-

Wiemy, że policja złapała Estebana, ale nie wiemy nic więcej. Tyle informacji do zdobycia!

-

No tak, ale te informacje ma tylko policja.

-

Zgadza się!

-Jeśli wymyśliłaś, żeby zapytać tatę, to jest szczyt głupoty. Da nam takiego kopa w tyłek, że polecimy na orbitę!

-
Właśnie!

-
Niby co: właśnie?

-
Och! Właśnie dlatego tata nie jest naszym człowiekiem, ale ktoś o wiele bardziej, jakby to powiedzieć... rozmowny.

-Czekaj no... BRUNO!

-
Tak, Bruno! Który za piętnaście minut przyjdzie do tego baru co zwykle, wypić aperitif ten sam co zwykle... Jak zawsze, odkąd go tylko znamy! I mamy tylko piętnaście minut, musimy pędzić!

O tym niezmiennym zwyczaju, by wstępować na ziołowy aperitif do baru „La Choutte” przy ulicy de Bretagne każdego popołudnia o wpół do szóstej, wiedzieli wszyscy, którzy znali inspektora Bruno.

-
Ej, ale co z tymi niby „banalnymi” równaniami? - Simon znacząco postukał palcem w biurko z rozłożonym zeszytem do matematyki.

Aperitif z dawnych czasów

-
Nikola westchnęła.

-
Zrobię ci je wieczorem!

-
No to lecimy! — Simon zanurkował pod łóżkiem po buty i zanim siostra zdążyła zerknąć do

lustra, był już gotowy do drogi.

Cicho jak koty podeszli do łazienki, skąd dobiegał odgłos wody lejącej się z siłą wodospadu.

-

Mamo? Wychodzimy na chwilę — powiedział Simon półgłosem.

-

Tak, mamy taką małą, eee, sprawę do załatwienia - dodała Nikola.

-

Hę? - zawołała pani Walentyna.

-

To my idziemy! - zawołało rodzeństwo Gaillard, dając susa do drzwi.

Zakręciwszy prysznic i owinąwszy się w szlafrok, Walentyna wystawiła głowę zza drzwi łazienki.

-

Ej, wy dwoje, poczekajcie no chwi... - ale jej słowa zawisły w pustym już przedpokoju.

Maszerując pośpiesznie, rodzeństwo dotarło do baru w dziesięć minut — w samą porę, by zacząć się na Bruna. „La Choutte” był to stary bar, który pamiętał lepsze czasy. Nazwę lokalu nad wejściem zmyły niejedne deszcze i lata.

Nikola i Simon sprawdzili, czy mają wystarczającą ilość kasy, i zamówili dwie czerwone oranżady

—

napój, który w dzisiejszych czasach nie wszędzie można było jeszcze dostać. Następnie siedli trochę niepewnie na przedpotopowych krzesłach z wikliny, które zaskrzypiały pod ich ciężarem.

Rozdział trzynasty

-

W sumie to miejsce nie jest takie złe - stwierdziła Nikola, rozglądając się dokoła. — Ma swój charakter...

Simon przewrócił oczami.

-

Ty to mogłabyś zostać archeologiem i robić wykopki w Egipcie! Zresztą pewnie niejeden faraon wpadał tu na aperitif...

-

Lepszy lokal z tradycjami niż jakiś...

Rodzeństwo Gaillard na pewno pokłóciłyby się jak

zwykle, gdyby w tej właśnie chwili nie wszedł inspektor Bruno. Uwagę Nikoli i Simona natychmiast przyciągnęła teczka na dokumenty, którą policjant miał przy sobie: wyglądała, jakby miała pęknąć od papierów. Oboje pamiętali, że tata nieraz wypominał Bru-nowi jego zwyczaj zabierania do domu

zaległej pracy. A teraz Bruno pracował nad sprawą hotelu Etoile... więc ta teczka musiała być prawdziwą skrzynią skarbów!

Bruno podszedł do stolika swym charakterystycznym, nieco rozkołysanym krokiem.

-

Pierre? To, co zwykle! Tylko żebyś mi nie wcisnął spleśniałych oliwek jak w tamtym tygodniu!

- polecił, rozsiadając się na małej kanapce, która była już wygnieciona w kształcie idealnie odpowiadającym kształtom inspektora.

-

Hej, Bruno! - pomachał mu Simon z szerokim uśmiechem.

-

Dobry wieczór, inspektorze! — zawtórowała mu Nikola.

-

Dzieciaki Gaillard! Witajcie! - odpowiedział nieco zdziwiony Bruno. — Co wy tu robicie?

Aperitif z dawnych czasów

-

-

Biegliśmy, żeby zdążyć na autobus, no i okropnie zachciało nam się pić... - Nikola zmyślała na

poczekaniu pierwsze bzdury, jakie przysły jej do głowy.

-

Nie mogliście trafić lepiej niż do starego „La Choutte”... To jest fantastyczny bar! No, może oliwki mogłyby być czasem lepsze... Ale w sumie, hm, was to jeszcze nie dotyczy...

Brat i siostra wymienili spojrzenia, chwycili szklanki z oranżadą i jak na zawołanie dosiedli się do stolika inspektora.

-

Rozmawialiśmy przed chwilą z tatą — rozpoczęła atak Nikola.

-

Dzisiaj wielki dzień, co? Tak szybko przyskrzyniliście tego Gallegę, no no... — przypochlebiał się Simon.

Bruno przytaknął z zadowoleniem.

-

Rzeczywiście, to był kawał dobrej roboty. Uważnie, szybko, precyzyjnie... Ten łajdak był bez szans!

W tej chwili kelner przyniósł Brunowi kieliszek ze złotawym płynem o dziwnym zapachu. Policjant chwycił go z entuzjazmem i uniósł, wygłaszając toast:

-

Za skuteczność paryskiej policji!

Rodzeństwo Gaillard przyłączyło się do toastu,

stuknąwszy w kieliszek szklankami z oranżadą. Z kieliszka unosił się nieokreślony zapach.

-

Cóż to takiego... - nie mógł się powstrzymać Simon.

-

Aaaach, masz gust, chłopcze... - Bruno przyjął jego słowa za dobrą monetę. — To wermut z korzeniem goryczki! Prawdziwy rarytas z dawnych cza-

-

sów... To jedyny lokal w Paryżu, gdzie można go jeszcze dostać. Łatwo stracić dla niego głowę.

—

Jeśli się ją ma... — mruknęła pod nosem Niko-

la.

—

Co mówisz?

—

Pytałam pana, jak się odbyło to aresztowanie, inspektorze.

—

Och, całkiem łatwo. Ten cwaniak próbował się wymknąć bez płacenia z pewnego małego pensjonatu. Właściciel wezwał nas, otoczyliśmy gościa... i od razu wpadł. To jakiś wariat!

—

Dlaczego?

—

Opowiada historie zupełnie bez sensu.

—

Na przykład?

—

Kiedy go zatrzymaliśmy, powtarzał w kółko: „Nie możecie mnie aresztować... Nie zrobiłem nic złego... Chciałem tylko, żeby stała się sprawiedliwość... Należy mi się jakaś sprawiedliwość... Po tym wszystkim, co wycierpiałem!”.

—

W sumie to nie brzmi tak głupio...

—
Och, najlepsze było potem. Podczas przesłuchania poprosiliśmy, żeby nam wytłumaczył, co ma sprawiedliwość do rozbijania głowy słynnemu magikowi. Wtedy on wytrzeszczył na nas oczy i zapytał, o czym u diabła mówimy!

—
Dziwne!

—
Właśnie! Więc wyjaśniliśmy, że jest oskarżony o usiłowanie zabójstwa Maga Offenbacha. A wtedy on zaczął krzyczeć, że znowu chcemy go zrobić w coś, z czym nie ma nic wspólnego...

Aperitif z dawnych czasów

-
-
Ale o co chodzi z tą całą „sprawiedliwością“?

-
Według mnie - powiedział Bruno, upijając łyżeczek swojego drogiego trunku — temu facetowi brakuje paru klepek!

Nikola zamyśliła się. Wędrując wzrokiem dookoła, napotkała spojrzenie brata, który wskazywał jej dyskretnie teczkę Bruna. Nikola kiwnęła nieznacznie głową i przypuściła nowy atak.

-
A propos rzeczy, których brakuje... Zauważył pan, że tam, o tam — wskazała w kąt lokalu — kable elektryczne zwisają z sufitu?

—
Naprawdę? O, faktycznie!

—
To poważna sprawa, wie pan? W naszych czasach przepisy bezpieczeństwa są bardzo

surowe...

Do licha, Nikola... Masz rację.

Myślę, że funkcjonariusz policji powinien się upewnić, czy nie ma zagrożenia dla klientów.

Noo... pewnie, że... Rzeczywiście...

Sztuczka podziałała. Bruno spojrzał z żalem na

swój kieliszek, ale podniósł się z kanapy i zbliżając się do baru, zawołał groźnie właściciela.

Przepisy bezpieczeństwa przeciwpożarowego są bardzo surowe w naszych czasach. Wiesz o tym czy nie, Pierre? - słyszeli, jak przemawia surowym tonem.

Simon tylko na to czekał, by otworzyć teczkę Bruna. Nikola obserwowała bacznie inspektora, a jej brat szybko przerzucał szpargały. Nic za bardzo nie zwróciło jego uwagi — aż do chwili, gdy z jakiejś koperty wysunęło się zdjęcie mężczyzny w średnim wieku.

Rozdział trzynasty

Bruno tymczasem, skończywszy głosić Pierre'owi kazanie, ze słowami „I żeby mi to było ostatni raz!” wrócił do stolika.

Simon oczywiście zdążył już schować zdjęcie do kieszeni i rodzeństwo wpatrywało się w inspektora niewinnie, popijając oranżadę.

Bruno usiadł na wygniezionej poduszce.

Nieźle zmyłem mu głowę! — oświadczył z satysfakcją.

Ale macho z pana, Bruno! — Simon kiwał głową z zapałem.

—
Tak, prawdziwy policjant! — potakiwała Niko-la. — Ale wie pan, musimy już iść, bo mama da nam popalić...

—
Racja! Lepiej nie denerwować pani Gaillard... I komisarza Gaillarda też nie, jeśli mnie kto pyta o zdanie, ha ha ha! - Bruno zaśmiał się donośnie z własnego dowcipu.

Rodzeństwo Gaillard zawtórowało mu ochoczo

1

machając rękami, wybiegło z baru.

Bruno pociągnął łyk ciemnobrązowego napoju, odprowadzając ich wzrokiem przez witrynę.

—
Ho ho, tak tak, mało jest teraz takich grzecznych dzieciaków jak te!

Po udanej akcji w barze „La Chouette” Nikola i Simon w zasadzie powinni wrócić prosto do domu.

Tam jednak czekały nieodrobione lekcje, obowiązki domowe — słowem wszystko, co przeszkodziłoby

zwycięskim detektywom w dedukcyjnym skupieniu. Rozumiejąc się bez słów, rodzeństwo Gaillard

skierowało się więc wolno do parku, żeby wszystko przemyśleć. Zbliżał się już wieczór, ale wiosenne powietrze wciąż było rozkosznie ciepłe. Nieco schowana ławka pod wielką magnolią, z dala od tłumu spacerujących paryżan, zdawała się czekać właśnie na nich.

Gdy usiedli, Simon wyciągnął z kieszeni swą zdobycz. Fotografia przedstawiała łysiejącego mężczyznę w średnim wieku.

— To aktualne zdjęcie Estebana Gallegi — chłopak natychmiast rozpoznał nieco postarzałą twarz, którą widział na kilku dawnych fotografiach wśród papie-

Rozdział czternasty

-
rów mecenasa Janyiera. Nikoli zrzęda mina.

—
I raczej na nic nam się nie przyda.

—
Bez sensu! Taka popisowa akcja z Brunem i w nagrodę. .. zdjęcie Gałlegi! Super! — Simon był załamany. — Porażka, największa ze wszystkich dzisiaj!

—
Może wcale nie taka porażka... — zamyśliła się jego siostra.

—
Jakim cudem?

—
Z przechwałek Bruna jedna rzecz nie daje mi spokoju... To zdanie, które powtarzał Gallego: „Chciałem tylko, żeby stała się sprawiedliwość”.

—
Jak dla mnie to brzmi, jakby Bruno raz w życiu jakimś cudem miał rację. Gallego to wariat!

—
Nieeee... Typowe wyjaśnienie na skróty. Pomyśl, Simon... O co chodzi z tą sprawiedliwością?

—
Może na przykład Gallego chciał się na kimś zemścić?

—
Jeśli tak, to pierwszy w kolejce jest sędzia, który wysłał go na piętnaście lat za kraty!

—
To może być to! Musimy sprawdzić, co się stało z tym sędzią. Dzwoń do Janviera!

—
Czeeemu ja?

Bo ja nie mam już kasy na koncie, a poza tym jesteś jego dobrym kumplem, nie? — odparła

Nikola z uśmiechem.

Simon, głośno wzdychając, wybrał numer Janvie-rów. Rozmowa była krótka, a jej wynik, sądząc z miny chłopaka, niezbyt ciekawy.

-No i?

—

No i sędzia, który skazał Gallegę, nazywał się Lavreux.

Długi dzień

—

I co z nim?

—

I nie żyje od jakichś trzech—czterech lat.

—

OK. W takim razie pozostaje tylko jedna możliwość! — widać było, że jej głowa pracuje na najwyższych obrotach, bo po chwili krzyknęła:

—

Mam!

—

Co masz?

—

Wiem, o kogo chodziło Galledze! Izabela Gran-ger, pamiętasz?

—

Ta dziewczynka, blondynka, której zeznanie wsadziło Estebana do kicia?

—

Tak! I która przez te lata zdążyła dorosnąć... Jeśli Gallego faktycznie był niewinny, pomyśl, jak musi jej nienawidzić!

—
Totalnie! Ale... w sumie to przecież bez sensu.

—
Jak: bez sensu?!

—
No bo szukamy kogoś, kto walnął w łeb wazonem magika, a nie jakiejś blondynki!

—
No wiem... Ale pamiętasz, co mówił Bruno: jak powiedzieli Galledze o magiku, to wyglądał, jakby spadł z księżyca!

—
Strugał wariata! Niby co miał powiedzieć!

—
Niby tak, ale...

—
W tej chwili Nikola doznała nagłego przebłysku — olśnienia, które King Ellerton nazwałby „impulsem do działania”.

—
Simon! Natychmiast idziemy do pani Granger! Mam przeczucie, że to ona odgrywa główną rolę w tej sprawie.

—
Brat sprawdził godzinę w komórce.

—
Rozdział czternasty

-

-

—
Ale jest strasznie późno... Z powodu twoich głupich przeczuc mama da nam szlaban na sto

lat!

-

Sam jesteś głupi! I nie myśl, że nie wiem, że chcesz po prostu zdążyć na mecz w telewizji, ofiaro losu!

Zdemaskowany Simon odburknął coś pod nosem, po czym wzruszył ramionami.

-

Adres masz?

-

No ba!

-

No to idziemy!

Śledztwo na dziś jeszcze się nie skończyło!

Dwadzieścia minut później rodzeństwo Gaillard wybiegło z podziemi metra. Przeciskając się przez wszechobecny zewsząd tłum, dotarli na bulwar Saint-Jacques i zaczęli wypatrywać numerów na budynkach.

Chwilę później stanęli przed całkiem zwyczajną kamienicą.

-

216 — odczytał Simon. — To tu.

Przebiegli wzrokiem nazwiska na domofonie, ale „Granger” nie było ani śladu.

-

Na pewno to dobry numer?

Powstrzymując westchnienie, Nikola ponownie sprawdziła w czerwonym notesie.

-

Tak, zgadza się — potwierdziła.

-
Pewnie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko albo zdążyła się wyprowadzić — snuł przypuszczenia Simon.

-
Możliwe, ale... PATRZ! - Nikola wskazała na kobietę, która ciągnąc mały wózek na zakupy, zbliżała się do bramy kamienicy numer 216.

Długi dzień

Rodzeństwo Gaiłard przyjrzało się jej dokładnie. Sądząc z wyglądu, musiała być młoda, poniżej trzydziestki. Blondynka.

Brat i siostra dokonali pośpiesznych obliczeń.

—
To chyba ona... — powiedział ostrożnie Simon.

Kobieta podeszła bliżej i dostrzegli, że miała podbite jedno oko, wielki siniak na prawym policzku, a na szyi kołnierz ortopedyczny.

—
„Chciałem, żeby stała się sprawiedliwość...” — odruchowo powtórzyła półgłosem Nikola.

Tymczasem kobieta zatrzymała się przed numerem 216 i zaczęła szukać kluczy w torebce. Było oczywiste, że tu mieszka.

Simon zdobył się na odwagę.

—
Pa-pani Granger? - spytał.

Młoda kobieta, nie mogąc poruszyć szyją, odwróciła się cała, by zobaczyć, kto ją zaczepia.

Simon poczuł na sobie pytające spojrzenie.

—
Nie, nie jestem panią Granger. Nazywam się Teresa Ardouin. Pani Granger wyjechała dwa lata

temu do Australii. Kupiliśmy od niej mieszkanie... — przerwała naraz i zeszywniała, wytrzeszczając oczy. Rodzeństwo obserwowało ją z rosnącym zdumieniem.

Ależ... To... To... To jest mężczyzna, który mnie pobił! - zawołała łamiącym się głosem, wskazując w stronę Simona.

Chłopak aż odskoczył do tyłu. Nikola spojrzała na spanikowanego brata i zauważyła, że... z kieszeni kurtki wystaje mu zdjęcie Estebana Gallegi. Wyciągnął je.

Rozdział czternasty

-

Tak! To on! - krzyknęła kobieta i wybuchła płaczem. — A wy kim, u diabła, jesteście?

Niech się pani nie boi! Jesteśmy... eee... detektywami!

I ten facet został już aresztowany, proszę pani! Nic pani nie grozi!

Ale kobieta tonęła już we łzach. Między jednym a drugim szlochem mówiła z trudem:

Tak... ale mój syn... mój syn jest w szpitalu, a ja jestem sama... Mój mąż Julian zniknął... I teraz nie mam pojęcia... - nie mogąc się opanować, pani Ardouin wsunęła klucz do zamka u bramy i uciekła z płaczem.

Wstrząśnięte rodzeństwo Gaillard stało jak wryte przed wejściem do kamienicy, po czym automatycznie ruszyło dalej ulicą.

Myślałem, że zejde na zawał! To jakaś przesada, to wszystko jest maksymalnie poplątane! - wołał Simon, gestykulując bez opamiętania.

Uspokój się, Simon! - powiedziała Nikola. - Pamiętaj, co w takich sytuacjach mówi King

Ellerton? „Tylko spokój może nas uratować. Spokój i logiczna dedukcja!" — zacytowała w zamyśleniu.

Simon zamilkł. Brat i siostra szli wolnym krokiem w stronę metra, a w ich głowach kotłowały się tysiące myśli. Sprawa zagmatwała się już tak bardzo, że rozwiązanie albo będzie dziecinnie proste...

albo nie będzie go wcale!

—

Dzień dobry...

—

Mecenasie...

—

Pani Jaśmino... — szybki rzut oka na zgromadzonych w zielonym gabinecie i Janvier zasiadł na swoim miejscu. - Kogo brakuje?

—

Gaillardów.

—

Istotnie.

—

Coś pan z tego zrozumiał, Wiktorze?

—

Absolutnie nic. Ale zdaje się, że dzieciaki mają rozwiązanie zagadki!

—

Naprawdę?

—

Jeśli tak samo dobre jak przy Tajemnicy Miesiąca, to jesteśmy załatwieni.

—
A ja mam dobre przeczucie... - oświadczył syn pani Jaśminy, bawiąc się ołówkiem.

—
Z powodu pani Gaillard, mogę się założyć — rzucił adwokat, wywołując rumieniec na twarzy antykwariusza.

Rozdział tnasty

-
—
Co ma do tego pani Gaillard, mecenasie?

—
Ależ nic... — uśmiechnął się dyplomatycznie książę sali sądowej, który na podstawie wielu poszlak wywnioskował pewną słabość Ludwika do pięknej żony nadkomisarza. — Chciałem tylko powiedzieć, że... jeśli młodzi Gaillardowie naprawdę rozwiązali zagadkę, to prawdopodobnie i ona miała w tym swój udział, nie sądzi pan?

—
To bardzo inteligentna kobieta! — stwierdziła pani Jaśmina.

—
Owszem, inteligentna i ma świetną pamięć... — przytaknął jej syn ostrożnie.

—
A propos pamięci — Leon uderzył się ręką w czoło — zapomniałem na śmierć! — Wyskoczył jak po ogień z gabinetu detektywa Darbona i wrócił chwilę później z wielkim pudłem. — Simon prosił, żebym to rozłożył na stole.

Leon rozłożył na stole wielką jak obrus mapę Paryża. Gdy już zakryła blat, wysypał na nią zawartość pudła. Były to drewniane klocki w różnych kształtach i bardzo jaskrawych kolorach.

—
Klocki dla dzieci?! — zapytał podejrzliwie Wiktor.

—
Dokładnie! — potwierdził Leon, śmiejąc się. — Ale nie byle jakie: zabytkowe! Uprzejmie udostępnione dla celów dydaktyczno-detektywistycznych przez antykwariat Ludwika!
Wiktor zniechęcony podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz zza zaciągniętych rolet.

—
I co niby mamy robić z tymi zabytkowymi kloc-

Jak wielka mozaika

-
kami? Bawić się do wieczora i liczyć, że sprawa się sama rozwiąże?

-
Ach Wiktorze, w każdym z nas tkwi przecież trochę dziecka, nie zaprzeczy pan? — mecenas

Janvier ochoczo jak na swój wiek zabrał się do układania klocków, wspomagany przez Leona.

Nagle usłyszeli, jak otwierają się drzwi na korytarz, potem krótki harmider — i do gabinetu wpadli Gaillardowie.

-
Cześć wszystkim!

—
Witamy, pani Jaśmino...

-
Mecenasie... Wiktorze...

-
Halo Nikolo, cześć Simon!

—
O, super, Leon! — zawołał Simon, rzuciwszy okiem na stół. — Nasza scena już gotowa!

Może wyjaśnicie łaskawie, o co chodzi z tym cyrkiem? — wycedził listonosz, nie odwracając się od okna.

Wszyscy spoglądali pytająco na panią Walentynę, ale ona milczała jak zakłeta.

—
To będzie coś, co się fachowo nazywa rekonstrukcją faktów! Wpadliśmy na to wczoraj... po tej dziwnej akcji z panią Ardouin... — Simon ledwo łapał oddech z pośpiechu. Jego siostra otworzyła swój niezawodny notes.

—
To może zabrzmieć nieprawdopodobnie, ale... sami zobaczycie, że wszystko pasuje — powiedziała, widząc utkwione w siebie zdziwione spojrzenia.

—
Pasuje jak... jak puzzle! Takie ze stu kawałków! — zawołał Simon z entuzjazmem. — Nikola, opowiadaj!

—
Tego samego wieczoru, gdy Offenbach został niemal śmiertelnie uderzony w głowę przez jakiegoś wariata - zaczęła opowieść Nikola - na panią Teresę Ardouin napadł inny wariat, który ją pobił, a jej syna wysłał do szpitala. Teresa wpadła przez to prawie w nerwicę, a jej syn, który spadł ze schodów podczas ucieczki, ma przed sobą jakiś miesiąc w łóżku. Teresa z synem mieszkają... tutaj: przy bulwarze Saint-Jacques.

Simon ustawił dwa kolorowe klocki w odpowiednim miejscu na mapie.

—
O której godzinie doszło do napaści? - zapytał syn pani Jaśminy.

—
Dziesięć minut przed północą — Simon uśmiechnął się jak ktoś, kto dużo wie.

GS5

Jak wielka mozaika

—
Az bulwaru Saint-Jacques... do hotelu Etoile — liczył adwokat Janvier — są...

—
Cztery przystanki metra — podpowiedział Wiktor. — Dziesięć minut. Na piechotę dwadzieścia.

—
Krokiem listonosza — zażartowała pani Jaśmina.

—
Mnie zajęłoby to dwa razy tyle.

—
Wystarczy nie zatrzymywać się na pogaduszki — odgryzł się Wiktor.

—
W tym samym czasie w hotelu Etoile — kontynuował Simon — znajdowali się trzej magicy...

—
Majestic, Fox i Offenbach - uzupełniła Nikola, ustawiając na ich miejscu klocki.

—
Rozumiem — stwierdził Ludwik. — Gallego najpierw napadł na panią Ardouin, a potem wrócił do hotelu, żeby napaść na Maga Offenbacha!

—
Ale dlaczego właśnie on?

—
-Jest bandytą! Dopiero co wyszedł z więzienia!

—
I co z tego? — syknął Wiktor.

—

Niby nic... ale jeśli ktoś idzie do więzienia, to prawdopodobnie coś zrobił!

Urażony Wiktor milczał demonstracyjnie.

—
Tak czy owak, Estebana Gallegi brakuje na tej mapie — zauważyła pani Jaśmina.

—
Tak, Estebana na razie brakuje — przytaknął Simon, sięgając po nowy klocek. — Żeby zgadnąć, gdzie jest Esteban Gallego, musimy się cofnąć o pół godziny. I ustawić go tam, gdzie wiemy, że był. Czyli tu. - Simon ustawił klocek wyobrażający Estebana obok trzech magików. — Jest wpół do dwunastej...

—
ciągnął. — Magicy kończą kolację. Xavi opowiadał,

Rozdział tnasty

-
że jeden z kelnerów, właśnie Esteban Gallego, nie mógł się doczekać, żeby wyjść. Wyznał kucharzowi, że śpieszy się na randkę...

Wiktor skinął głową.

—
Gallegę przyjęli do pracy dopiero niedawno. Siedział piętnaście lat w więzieniu, podobno niewinnie. Xavi zatrudnił go, bo ma słabość do ludzi z trudną przeszłością... No i zaufał Galledze, chociaż go nie znał i nie wiedział nawet, gdzie on mieszka.

—
W jakiejś norze — przypomniał sobie Wiktor, który zbierał informacje na ten temat.

—
Tamtej nocy Gallego się śpieszył... — przejęła opowieść Nikola. — Ale nie dlatego, że miał randkę.

To znaczy niezupełnie randkę - wtrącił jej brat.

—
To znaczy miał się spotkać z kobietą... ale w zupełnie innym celu.

—
A więc Esteban twierdzi, że ma umówione spotkanie. Ciągłe patrzy na zegarek, bo wie, że ma mało czasu — Simon dał się ponieść fantazji i zamiłowaniu do kryminalnych historii. - Musi za wszelką cenę dotrzeć do tej kobiety przed północą — chłopak okrążył stół. - O wpół do dwunastej magicy

kończą kolację i Esteban pędzi do Xaviego, prosząc, by pozwolił mu wyjść. Potem idzie do szatni, żeby się przebrać. Jak mówił Xavi, Esteban Gallego ma tylko dwa ubrania...

—
...i jednym z nich jest frak.

—
Stary, wytarty i brudny frak, który mu zwrócono, gdy opuszczał więzienie.

—
Właśnie. W stroju mima, o wpół do dwunastej — Simon podniósł klocek przedstawiający kelnera —

Jak wielka mozaika -

Esteban Gallego wypada biegiem z hotelu i pędzi na bulwar Saint-Jacques. Dociera tam dziesięć minut przed północą - postawił klocek Estebana obok klocek Teresy Ardouin i jej syna. - Ale po co?

Pozostali detektywi siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym mecenas Janvier podniósł rękę.

—
Żeby się zemścić...?

—
Brawo, Ferdynandzie! — zawołał Simon. — Żeby się zemścić!

—
Ale... na Teresie Ardouin? Przecież nawet jej nie znał!

—
Ciii... dajcie mu dokończyć! — wołała rozgorączkowana pani Jaśmina.

—
Dzięki! — Simon zrobił głęboki wdech. — To teraz gwóźdź programu. To zabrzmiał trochę dziwnie, ale...

—
Ale taka jest nasza wersja — wsparła brata Ni-kola. - Zakładamy, że Esteban Gallego piętnaście lat temu był całkowicie niewinny. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Ale prowadzący rozprawę sędzia La-vreux uznał zeznanie dziewczynki, Izabeli Granger, za wiarygodne, i Esteban dostał wyrok piętnastu lat więzienia. Piętnaście lat za kratami, niewinny.

—
Matko droga... — szepnęła z przejęciem pani Jaśmina.

—
No i gdy wreszcie wyszedł z pudła, wściekły i zrozpaczony, Gallego postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość, mszcząc się na...

—
Sędzi Lavreux — dopowiedział Janvier.

—
Tak, ale...

Rozdział piętnasty

—
Ale sędzia zdążył tymczasem umrzeć. Więc została tylko jedna osoba...

—
Izabela Granger... — podsunął syn pani Barduchon.

—
Strzał w dziesiątkę! - krzyknął Simon, po czym zwrócił się do mamy: - Masz zdjęcia?

Pani Walentyna skinęła głową i szybko położyła na stole dwie fotografie. Pierwsza przedstawiała nastolatkę, druga Walentynę sprzed kilku miesięcy.

—
Na pierwszym zdjęciu jestem ja, gdy miałam osiemnaście lat... - wyjaśniła, rumieniąc się lekko.

-Jaka piękna dziewczyna... - oceniła pani Jaśmina.

—
Naprawdę!

—
Mogę je wrzucić na Facebooka? - zapytał Leon.

Wiktor i Janvier podali sobie zdjęcia bez komentarza.

—
Patrzcie uważnie — podjął Simon. — Na obu fotach jest moja mama, tylko że na drugiej starsza o kilkanaście lat...

—
Niewiele ponad dziesięć, Simon! - sprostowała z naciskiem Walentyna, na co pani Jaśmina serdecznie się roześmiała.

—
Z akt procesu wiemy — kontynuowała Nikola — że Izabela Granger, świadek w sprawie Gallegi, była blondynką o niebieskich oczach, bardzo szczupłą. No a przypadkiem Teresa Ardouin...
—

Jest właśnie szczupłą blondynką o niebieskich oczach.

—

A niech mnie! - wykrzyknął mecenas Janvier.

—

I ma tyle samo lat, ile teraz powinna mieć Izabela — podkreślił Simon. — Jak zobaczyliśmy panią

Jak wielka mozaika

-

Ardouin, to myśleliśmy, że to właśnie ona! To znaczy, Izabela Granger!

Ludwik wskazał klocek przedstawiający Estebana Gallegę przy bulwarze Saint-Jacques. - A zatem Esteban szukał i znalazł swojego świadka... poszedł do jego domu z zamiarem zemsty, a w rzeczywistości...

—

Zemścił się na zupełnie innej kobiecie! I przy okazji na jej synu, który też nie miał z tym wszystkim nic wspólnego!

—

Ale numer! — zawołał Leon w osłupieniu.

—

No! Ale facet miał pecha. Kiedy potem wrócił do Etoile na swoją zmianę w restauracji, w hotelu roiło się już od policji...

—

Ponieważ w tym czasie... — syn pani Jaśminy przerwał i pokręcił głową. — Chwileczkę... skoro Esteban wrócił, gdy w hotelu była już policja, to znaczy, że Mag Offenbach został napadnięty wcześniej!

—
Tak właśnie — potwierdziła Nikola.

—
Czyli mówicie, że to nie był on...?

—
Nie, to nie był on.

—
Więc kto to zrobił?

Rodzeństwo Gaillard spojrzało na siebie z ledwo ukrywanym triumfem.

—
Odpowiedź może być tylko jedna... — oświadczył Simon dramatycznie. Nikola sięgnęła po nowy klocek, uniosła go nad mapę miasta i dokończyła: — ...W tej układance brakuje jeszcze jednego klocka!

-
Kiedy Esteban wrócił do hotelu Etoile na swą zmianę, załóżmy, że następnego dnia... —

kontynuowała Nikola — zastał hotel pełen policjantów i oczywiście uznał, że to przez niego. Myślał, że został rozpoznany... więc zwiął. Ale naprawdę policjanci byli tam z powodu Maga Offenbacha i inspektor Bruno zajął scenę na długie dni. To wyjaśnia, dlaczego przez cały ten czas nikt nie miał

wiadomości o Estebanie. Ale on nie był jedyną osobą, która się ukrywała.

Nikola zrobiła dłuższą przerwę.

-
Jest coś, na co nikt z was za bardzo nie zwrócił uwagi... - podjął podekscytowany Simon. -

Dlaczego tamtego wieczoru Gallego tak bardzo śpieszył się do wyjścia?

-
Właśnie... - mruknął Wiktor, który wbrew pozorom z dużym zainteresowaniem śledził tę

rekon-

-In-

strukcję zdarzeń. - Powiedziałeś, że koniecznie musiał zdążyć do mniemanej pani Granger przed północą.

—
Tak! Bo najprawdopodobniej tamtego wieczoru Esteban nie pierwszy raz odwiedzał mieszkanie przy bulwarze Saint-Jacques... Musiał wcześniej obserwować ofiarę.

—
Jedno pytanie!

—
Tak, pani Jaśmino?

—
Utrzymujecie, że Gallego pomylił dwie kobiety: dorosłą Granger z panią Ardouin. Ale jak to możliwe, że w którymś momencie nie zauważył pomyłki...

—
Słuszna uwaga - potwierdził mecenas Janvier.

—
Być może — odezwała się Walentyna — gdy Gallego podszedł do pani Ardouin, pytając:

„Pamiętasz mnie? Poznajesz tę twarz?“, ona, która nigdy wcześniej go nie widziała, zaczęła zaprzeczać... i to go rozwścieczyło jeszcze bardziej...

—
W każdym razie... — przerwał jej syn — pozostała kwestia czasu. Esteban musiał zdążyć do domu tej kobiety, którą uważał za Izabelę Granger. I musiał tam zdążyć przed północą, bo o tej godzinie, co noc...

Nikola ustawiła wreszcie ostatni klocek na mapie, przy bulwarze Saint-Jacques.

—
Przychodził Julian — dokończył Simon.

—
Mąż Teresy — wyjaśniła Nikola.

Detektywi-amatorzy wymienili spojrzenia.

—
Mąż?

—
Skądinąd to logiczne...

-Ale...

—
Czemu akurat o północy?

Brakujący klocek -

—
Bo jest kierowcą autobusu linii 45 i pętla autobusowa jest parę przecznic od jego domu. Tyle czasu potrzebuje, żeby się przebrać i tak dalej... i wraca do domu zawsze około północy.

—
I tutaj zaczyna się najlepsze... — podjął Simon. - Moja wizja!

—
Ekh, hmm! - chrząknęła jego siostra znacząco.

—
Eeee... znaczy, chciałem powiedzieć, nasza wizja! Tak więc, jak co noc, Julian Ardouin wrócił do domu o północy. Gdy Esteban usłyszał jego kroki, był w holu kamienicy. Był przerażony, bo syn Teresy spadł ze schodów i wyglądało na to, że nie żyje...
—

Simon, ale nie przesadzaj z tymi szczegółami! To nie jest powieść o Kingu Ellertonie! —
powiedziała jego siostra na poły ze śmiechem, na poły ze złością.

—
Przecież opisuję scenę zbrodni! - zaprotestował Simon. — To są same niezbędne szczegóły!

—
Chłopak ma rację — zauważył adwokat. — Mów dalej.

—
Mmm — Simon odetchnął głęboko. — No więc: Esteban pojął, że chyba przeholował z tą
swoją zemstą. W sumie niechcący skrzywdził przecież dzieciaka, który nie miał z tym wszystkim nic
wspólnego! No i strasznie nie chciał, żeby Julian go przyłapał... Więc zaczął uciekać przez drzwi do
pralni i podczas ucieczki zgubił pudełko zapalek z hotelu Etoile.

—
Pudełko, które włożył do kieszeni Mag Offenbach, kiedy po południu zamienili się przez
pomyłkę frakami - uściśliła Nikola.

Rozdział znasty

-
Simon spojrzał na siostrę ze zdumieniem. — Nic

0
tym wcześniej nie mówiłaś...

—
Ale pasuje! — zagrzmiała pani Jaśmina. — Mówcie, co dalej!

—
Dalej musiała być mocna scena... Julian wszedł do kamienicy, zobaczył syna zrzuconego ze
schodów

swoją żonę w szoku... Pewnie za wiele nie była w stanie powiedzieć. Więc Julian oczywiście szybko wsadził Teresę i syna do samochodu i zawiózł do najbliższego szpitala...

Nikola przesunęła pośpiesznie klocki na mapie.

—
Tutaj, tylko pięć minut od bulwaru Saint-Jacques.

Simon gorączkowo kiwnął głową.

—
Po drodze Julian wciąż się pytał: „Kto to zrobił?!”. A jego żona mogła pewnie wykrztusić tylko tyle, że ten ktoś miał na sobie frak...

—
Frak — podkreśliła Nikola.

—
Przyjechali do szpitala, a tam powiedzieli, że Teresa musi zostać na noc, a syn na kilka dni.

Julian był zdruzgotany. Wrócił do domu... i znalazł zapałki z hotelu Etoile.

—
To musiała być kropla, która przelała czarę - dodała Nikola.

—
Dokładnie! — zawtórował jej brat. — Julian musiał się wściec! W końcu jakiś nieznajomy

gość, jakiś wariat we fraku, wpakował się do jego domu i pobił żonę i syna! Ale teraz Julian miał w rękę wskazówkę, gdzie tego gościa szukać. Wkurzony, wsiadł do samochodu...

Brakujący klocek

Nikola wzięła klocek Juliana Ardouina i przesunęła go na hotel Etoile.

-

Było po północy, więc Mag Majestic poszedł już spać — ciągnął Simon.

O jeden klocek mniej.

-
Fox i Offenbach kłócili się, a potem Fox pojechał do domu taksówką...

-
Wcześniej gubiąc jeszcze swój słynny portfel -uzupełniła Nikola, zdejmując klocek Focha z hotelu Etoile.

-
O Foxie wszystko wiadomo, więc nie będę tego powtarzać — stwierdził Simon. — Za to Offenbach...

-
Uwaga! Wielki finał! - zawołała podekscytowana Nikola.

-
No więc o wpół do pierwszej w nocy Offenbach wyszedł z hotelu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. A tymczasem Julian Ardouin właśnie przyjechał pod hotel (pewnie pędził jak szalony!) i przed wejściem zobaczył... kogo? Faceta we fraku!!

-Nie!

-
Dalibóg!

-
Tak właśnie było!

-
I o to chodzi w tej zagadce z wazonem! - rozentuzjasmowany Simon mówił coraz szybciej. —

Jak myślicie, ile osób w Paryżu chodzi w nocy we fraku? I to akurat przed hotelem Etoile? Dla Juliana to nie był zbieg okoliczności — on myślał, że to jest właśnie ten gość, który pobił mu rodzinę! No i Ardouin był tak wściekły, że niewiele myśląc, rzucił się na Offenbacha. Nawet jeśli magik próbował

coś wyjaśnić,

-

to łatwo się domyśleć, co z tego wyszło. Z jednej strony zrozpaczony mąż z żoną i synem w szpitalu, a z drugiej Offenbach, trochę podpity i wkurzony po kłótni z Foxem... O czymkolwiek by nie gadali - jeśli w ogóle gadali - to i tak musiało się skończyć bójką. Aż w końcu Julian chwycił wazon i rozbił go magowi na głowie. Pewnie nie chciał go zabić, tylko się wyładować czy coś... No, ale Offenbach padł

na ziemię i nie dawał znaków życia, więc Julian wpadł w panikę i zwiął w podskokach... Musiał się nieźle wystraszyć, skoro przez następne dni nie pokazywał się na oczy nawet żonie. No i to wszystko na ten temat! Taka jest moja...

—

Ekhm!

—

...znaczy, nasza rekonstrukcja wydarzeń. I co myślicie? — wyczerpany Simon padł na fotel.

Razem z siostrą z zapartym tchem czekali, co wszyscy na to powiedzą.

Nastąpiła długa, bardzo długa chwila ciszy. Oczy obecnych nie mogły się oderwać od drewnianych klocek rozstawionych w różnych miejscach na mapie.

Wreszcie Leon wrzasnął z entuzjazmem:

—

Nie wiem jak dla innych, ale jak dla mnie to to jest genialne!!!

—

Taaak... naprawdę mogło tak być — syn pani Jaśminy kiwał głową w zamyśleniu. Jego matka była jednak mniej przekonana:

—

Gallego bije przez pomyłkę niewłaściwą kobietę... której mąż bije przez pomyłkę niewłaściwego

Brakujący klocek -

mężczyznę... No! To by dopiero była zamiana ról!

—
Podwójna zamiana! — doprecyzował mecenas Janvier.

—
W każdym razie to brzmi logicznie — powiedział Ludwik. - Fakt, że te dwie kobiety były praktycznie nie do odróżnienia... i frak...

—
Piękny strzał, pani Gaillard! - wykrzyknął adwokat.

—
Ale... ja nie mam z tym nic wspólnego... to wszystko zasługa dzieciaków... - odparła pani Walentyna. — Ja... ja jestem zdumiona nie mniej niż wy.

—
Gratulacje mimo wszystko, że tak powiem... — zaplątał się syn pani Jaśminy. — W końcu to pani dzieci! — nim zdążył dokończyć zdanie, zarobił na gorący uścisk i pocałunek w czoło od własnej matki.

Wiktor oparł łokcie o stół. Tylko on jeden nie skomentował jeszcze wersji Nikoli i Simona. Popatrzył

na wszystkich zmrużonymi oczami i zapytał: - No i co teraz?

Idąc do biura, jak niemal każdego ranka, inspektor Bruno zboczył nieco z drogi, by zajrzeć do swego ulubionego sklepiku z komiksami. Nie chciał zostać dłużej niż dziesięć minut, no, może piętnaście - tyle, ile trzeba, żeby sprawdzić nowości i przejrzeć półki z używanymi komiksami. Był jednym z pierwszych klientów, więc często zdarzało mu się tam znaleźć niezwykłą okazję.

Wpadając prawie codziennie rano do małej księgarni nie miał jednak wyrzutów sumienia, bo jego biurowi koledzy równie często zbaczali niewinnie z drogi do pracy, by wstąpić do jednej czy drugiej kafejki na kawę latte i rogaliki z czekoladą... Albo spędzali czas na przeglądaniu sportowych gazet w restauracji tuż obok policyjnej komendy.

No cóż... Dla jednych dzień zaczynał się od smakołyków, dla innych — od sportowych emocji, a dla

Bruna — od dobrego komiksu!

Rozdział senasty

-

—
Panie inspektorze... — powitała go dziewczyna przy kasie, cała w kolczykach i tatuażach.

—
Dzień dobry... — mruknął Bruno. Nie znał imienia kasjerki, ale kojarzył, że kiedyś dyskutował z nią na temat sensu dokonania prenumeraty, za obłądną cenę, kolekcji „Aquaman” do 2012 roku, w którym — rzecz powszechnie wiadoma wśród miłośników komiksów - miał nastąpić koniec świata.

Inspektor postawił swą skórzaną teczkę (kupioną po okazyjnej cenie w chińskim sklepiku przy ulicy du Tempie) przy wejściu, żeby nie dźwigać jej z sobą po całym sklepie. Teczka była bardzo ciężka, głównie ze względu na segregator z najnowszymi dokumentami śledztwa w sprawie Maga

Offenbacha. Śledztwa jak dotąd zupełnie bezowocnego.

Bruno westchnął ciężko, przypomniawszy sobie

0

tym. Dobre komiksy same się jednak nie znajdują, szybko więc zrobił swój zwykły obchód, sprawdził raz

1

drugi ostatnie numery „Donjon”, przerzucił używane komiksy... i oto nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wpadł mu w ręce egzemplarz „Ga-rage Alchemique” nr 3

Moebiusa. Serce zatłukło mu gwałtownie w piersi. „Garage Alchemique” nr 3!

Moebius!!!

Bruno ujął komiks w dłonie z delikatnością, z jaką traktuje się relikwie. Zapatrzył się w okładkę, którą przez lata oglądał jedynie w internetowych katalogach, po czym z obawą odwrócił zeszyt, by spojrzeć na cenę. Spodziewał się wielokrotności swojej pensji...

Za ciasna teczka

Aż podskoczył.

—
Tylko osiemnaście euro! — krzyknął zdumiony.

Przycisnął komiks do piersi, jakby chciał go obronić przed ewentualnymi napastnikami, rozejrzał się dokoła podejrzliwie, rzucił jeszcze raz okiem na okładkę i cenę, wytrzeszczył oczy, sprawdził centymetr po centymetrze cały regał z używanymi komiksami, znowu wytrzeszczył oczy i ruszył w stronę dziewczyny przy kasie.

—
To musi być pomyłka... — mamrotał pod nosem.

Na pierwszej stronie znajdowała się pieczętka: „Antykwariat przy zaułku Woltera”.

Zaułek Woltera, zaułek Woltera... Bruno jakby kojarzył to miejsce... chyba mieszkał tam jakiś jego znajomy... Kolega z pracy? W każdym razie jedno było pewne: w antykwariacie przy zaułku Woltera nie mieli o komiksach bladego pojęcia!

Zapłacił osiemnaście euro z udawaną obojętnością, ocierając ukradkiem spływającą mu z czoła kroplę potu.

—
Zapakować w siatkę?

—
Proszę?

Dziewczyna machała „Garage Alchemique” nr 3, jakby to był najzwyklejszy w świecie komiks.

—
Czy chce pan siatkę?

Bruno chciał tylko, żeby przestała.

—
Tak! Nie! Nie wiem! — mówił coś bez sensu, starając się odebrać jej skarb.

Rozdział siedemnasty

Parsknęła śmiechem — była przyzwyczajona do dziwaków.

Inspektor chwycił komiks i pochylił się, by otworzyć swoją teczkę.

Pękała w szwach od papierów. Do tego stopnia, że w żaden sposób nie zdołał wcisnąć do niej nowego nabytku.

—
Dziwne... — mruknął. — Byłem pewien, że zostało trochę miejsca...

Próbował wepchnąć komiks do środka, ale bał się, że go uszkodzi. Wyciągnął więc z teczki segregator sprawy Offenbacha, odłożył na podłogę, ułożył komiks w teczce i podniósł segregator, przyglądając się uważnie upchniętym w nim byle jak papierom. Hmmm. To był ten sam segregator. Właściwy. Ale

wglądał jakby... spuchł! Jakby przez te kilka minut, które inspektor spędził w sklepie, ktoś tu coś dołożył.

Na przykład...

Bruno podskoczył po raz drugi.

-
Cóż u licha... - wymamrotał, wyciągając z teczki jakąś podejrzaną rzecz. „Tego na pewno tu

nie było” — powiedział sam do siebie. Była to mapa Paryża, złożona na pół, do której przyklejono kolorowe drewnianki. Wyglądały jak klocki dla dzieci! - To dopiero! - zawołał inspektor, rękawem płaszcza ocierając pot z czoła.

Przycupnąwszy obok kasy w sklepiku z komiksami, Bruno zauważył, że do mapy dołączony był list.

Widać było, że napisano go na prastarej maszynie do pisania.

Za ciasna teczka

i

Policjant przeczytał półgłosem:

Esteban Gallego nie ma żadnego związku z magikiem. On pobił przez pomyłkę Teresę Ardouin przy bulwarze Saint-Jacques. Wazon na głowie magika rozbił Julian Ardouin, mąż tej kobiety. Jeśli nie wierzysz, spróbuj go odnaleźć.

Podpisano: Liga Superdetektywów.

Liga Superdetektywów? Esteban? Teresa Ardouin? Julian? Co to ma znaczyć?!?

Kto podrzucił tę dziwną mapę i list do jego teczki? I dlaczego? Skąd wiedzieli, że prowadzi śledztwo w tej sprawie... i skąd znali te wszystkie nazwiska?

„Liga Superdetektywów... — zastanawiał się Bruno. — Pierwsze słyszę. Czy to jakiś żart?”.

—
Panie komisarzu... — zaczął inspektor, wpadając kwadrans później z impetem do gabinetu szefa. Nie wiedział, że komisarz ma gości. — O, dzień dobry, pani Walentyno... Simon, Nikola... Wykonał półobrót w stronę wyjścia, ale Ernest Gaillard go zatrzymał.

—
Co tam, Bruno?

—
Och, wracajcie do pracy, my już będziemy zmykać! - powiedziała natychmiast Walentyna, wstając z miejsca i czochrając pieszczotliwie włosy obojga dzieci.

—
Ależ niech pani nie wychodzi...

Rozdział siedemnasty »1-

—
Wpadliśmy tylko na chwilę, naprawdę. Przechodziliśmy obok i... tak się stęskniliśmy... No, dzieci, idziemy.

—
To na razie, tato!

—
Czeeeeść!

—
Do zobaczenia! — pożegnał rodzinę nadkomisarz Gaillard. - No więc, Bruno?

Inspektor odczekał, aż Walentyna i dzieciaki znajdą się za drzwiami, po czym oświadczył (wystarczająco głośno, aby go jednak usłyszeli): — Mamy zwrot w sprawie Offenbacha! Chyba skoncentrowaliśmy się na niewłaściwym człowieku. Czy mówi coś panu nazwisko Julian Ardouin?

Leon wysiadł z windy i pobiegł długim korytarzem szpitala. Kierując się napisami na ścianach, w końcu dotarł na oddział intensywnej terapii. W rękach niósł bukiet kwiatów i ekologiczną torbę z papieru, z której wystawało kolorowe pudełko. Dredy podskakiwały mu przy każdym kroku. Skręcił

w odpowiedni korytarz, gdy nagle zatrzymała go pulchna pielęgniarka o płomiennie rudych włosach.

—

A ty dokąd się wybierasz, co? — spytała groźnie.

—

Szukam pani Magnier — odpowiedział pośpiesznie Leon. — Przysyła mnie pani Jaśmina.

—

Ach, więc to ty! — zawołała pielęgniarka i rozpromieniła się w uśmiechu. — Młody wielbiciel Maga Offenbacha.

—

No... tak, to właśnie ja.

—

Ja też sądzę, że to jestem ja.

Rozdział osiemnasty

-

—

W takim razie, to dla pani... — Leon wręczył jej bukiet kwiatów.

—

Ach, są przepiękne!

—

Pani Jaśmina powiedziała mi, że...

Pielęgniarka położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła:

—

Wiem, co ci powiedziała... ale... nie krzycz tego na cały oddział! — zanurzyła twarz w kwiaty, wciągając głęboko ich zapach. - Tędy, chodź...

Ruszyli długim korytarzem, mijając uchylone drzwi szpitalnych sal.

-Jak się czuje Mag?

—

Obudził się. To dobra wiadomość.

—

A jaka jest zła?

—

Nie uleży spokojnie ani przez chwilę. Mam nadzieję, że zostanie szybko wypisany ze szpitala, bo doprowadzi nas do obłędu tymi swoimi sztuczkami!

—

Czyli magicznie wrócił do formy? — roześmiał się Leon.

—

Aż za bardzo, chłopcze. Aż za bardzo!

Stanęli przed drzwiami sali numer 14.

—

Jesteśmy. Pamiętaj: pięć minut, nie więcej. Właściwie nie pozwalamy na odwiedziny

przyjaciół, tylko najbliższa rodzina... Ale po tym, co mówiła Jaśmina... Przy okazji: wspomniała ci, że jesteście koleżankami jeszcze ze szkoły?

—

Eee... Tak. Chyba.

—
No, to idź już poznać tego swojego idola — roześmiała się pielęgniarka. — Ja tu zostanę na straży.

Ostatnia sztuczka -

Przy okazji: masz szczęście — dodała — bo ten magik ma naprawdę twardy łeb!

Leon zapukał i ochryply głos zaprosił go środka.

Mag Offenbach leżał na łóżku. Głowę miał owiniętą wielkim bandażem, a obok stała kroplówka, która odmierzała krople do rurki.

—
Dzień dobry... — przywitał się Leon, nieco zawstydzony.

-
Witam - odpowiedział stary magik. - Znamy się?

-
Niezupełnie - uśmiechnął się chłopak. - Ale... zawsze byłem pana fanem i...

Wyciągnął z torebki pudełko, które rodzeństwo Gaillard podarowało mu na wieść o tym, że

Offenbach obudził się ze śpiączki i wraca do zdrowia.

Na widok pudełka oczy magika zwilgotniały.

—
Nie wierzę... — wyszeptał. — Skąd wytrzasnąłeś ten starość?

Leon położył na łóżku opakowanie NIEWIARYGODNYCH SZTUCZEK WIELKIEGO OFFENBACHA, a z

kieszeni wydobył gruby pisak. - Da mi pan autograf? — zapytał.

Oczy magika błyszczały od łez. Widząc samego siebie, młodego i uśmiechniętego, na zdjęciu

zdobiącym pudełko, powrócił myślą do początków swej kariery, gdy pracował jeszcze z ukochaną

asystentką, a świat wydawał mu się pełen cudów i dzieci, które zdumiewał swą sztuką. Potem, nagle zachmurzony, przypomniał sobie o tym, jak zaczął pić, mniej przykładać

Rozdział senasty

-

się do spektakli, dogryzać kolegom i uważać się za Bóg wie kogo... Drżącymi palcami wziął pisak.

-

Wiesz co, chłopcze?

-

Leon...

—

Wiesz co, Leonie? Może solidne walnięcie w łeb było mi jednak potrzebne...

-Jak to, proszę pana?!

—

Żebym przypomniał sobie, kim jestem napraw-dę.

Zdjął zatyczkę pisaka i napisał: „Rudolf Offenbach, magik z zamiłowania”.

1.

Męki oczekiwania

2.

Wielki Offenbach

3.

Co robić?

4.

Przyłapani!

5.

Kłopotliwi magicy

6.

Sensacyjne widowisko

7.

Burza mózgów

8.

Wróżka Otylia

9.

Zagadka portfela

10.

Człowiek z pralni

11.

Cienie z przeszłości

12.

Nie zawsze jest tak, jakbyśmy chcieli...

13 Aperitif z dawnych czasów

14.

Długi dzień

15.

Jak wielka mozaika

16.

Brakujący klocek

17.

Za ciasna teczka

18.

Ostatnia sztuczka